KASPROWICZ

KSIĘGA UBOGICH

PIW

KASPROWICZ

KSIĘGA UBOGICH

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/ksiegeubogich0000jank

JAN KASPROWICZ

KSIĘGA UBOGICH

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

Tekst oparto na pierwszym wydaniu:
Jan Kasprowicz, KSIĘGA UBOGICH
Lwów 1916

Poezje, zawarte w „Księdze ubogich", powstały w obliczu Tatr, na codziennych, zamożnych przechadzkach w polu.

Nie ma między nimi ani jednego wiersza, któryby miał jakiekolwiek pokrewieństwo — z bijatyką. Tem się Nowaczy charakter tej Księgi zarówno pod względem treści jak i formy wolałbym, otóżeż, widzieć na okręcie siebie i innych.

Jan Kasprowicz

Rozmiłowała się ma dusza
W cichym szeleście drzew,
Gdy koronami ich porusza
Druh mój, przecichy wiew.

Rozmiłowała się ma dusza
W głośnych odmętach fal,
Gdy druh mój, burza, je porusza,
W nieznaną płynąc dal.

Rozmiłowała się ma dusza
W twórczych promieniach zórz,
Gdy druh mój, słońce, w świat wyrusza
Życia płomienny stróż.

Rozmiłowała się ma dusza
W przepastnej nocy mgłach,
Gdy druh mój, śmierć, na połów rusza,
A przed nią lęk i strach.

I

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko!
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko!

Dzielili mnie od was ludzie,
Wrzaskliwy rozgwar miasta,
I owa śmieszna cierpliwość,
Co z wyrzeczenia wyrasta.

Oddalne to są przestrzenie,
Pustkowia, bezpłodne głusze,
Przerywa je tylko tęsknota,
Co ku wam pędzi duszę.

I ona mnie wreszcie przygnała,
Że widzę was oko w oko,
Że słyszę, jak szumisz, ty wodo,
Szeroko i głęboko.

Tak! Chodzę i patrzę, i słucham —
O jakżeż tu miło! jak miło! —
I śledzę, czy coś się tu może
Od kiedyś nie zmieniło?

Nic, jeno w chacie przydrożnej
Zmarł mój przyjaciel leciwy
I uschły dwie wierzby nad rowem,
Strażniczki wiosennej niwy.

A za to świeżym się liściem
Pokryły nasze jesiony
I jaskry się złocą w trawie
Zielonej, niepokoszonej.

A za to płyną od pola
Twórcze podmuchy wieczności,
Co śmierć na życie przetwarza
I ścieżki myśli mych prości.

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko!
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko!

II

Tą samą chodzę drogą,
Ścieżkami temi samemi,
Lata mnie spędzić nie mogą
Z mej udeptanej ziemi.

Upór mój budzi zdumienie
Nawykłych do przemian oczu,
Lecz ja się wałęsać nie lenię
Po jednostajnym roztoczu.

Tą percią idący, tym skrajem
Smreczynowego lasu,
Utartym witam zwyczajem
Twórczą robotę Czasu.

Tu, patrząc na latorośle,
Na świeże gałązek końce,
Szept, bywa, ku górze poślę:
„O Tworzycielu, słońce!"

Tu, z tego miejsca, najlepiej
Śnieżyste widzę szczyty
I jak się nad nimi sklepi
Strop niebios, błękitem kryty.

Tu spod mych stóp się wyrywa
Młodzieńcze kwiecie poziomki,
Tam leży gałąź krzywa —
Odłamał cios ją gromki.

Odłamał zeszłego lata:
Pamiętam dobrze tę burzę
I z tajemnicą świata
Chodzić się dalej nie nużę.

Nie nużę się chodzić dalej
Po jednej tej samej drodze:
Znam, czego nie poznali
Pospiesznych kroków wodze.

Ta jedna licha drzewina —
Nie trzeba dębów tysięcy! —
Z szeptem się ku mnie przegina:
„Jest Bóg i czegoż ci więcej?!"

To małe, nędzne pacholę
Prawi mi, patrząc w oczy:
„W twym jednostajnym kole
Wieczność wraz z tobą kroczy..."

Tą samą chodzę drogą,
Ścieżkami temi samemi,
Lata mnie spędzić nie mogą
Z mej udeptanej ziemi...

III

Nie ma tu nic szczególnego,
Żadnych tu dziwów świata:
Fundament z skalnych odłamów,
Z płazów świerkowych chata.

Przed chatą mały ogródek,
A w nim — o ludzie zmęczeni! —
Czuwa nad naszym spoczynkiem
Rząd pewnych siebie jasieni.

Rozłożył swoje korony —
O ludzie, nękani strachem! —
Nad zrębem naszego domu,
Nad domu naszego dachem...

Nie ma tu nic szczególnego...
Droga się snuje pod płotem —
Skąd ona i dokąd wiedzie,
Prawie nie myślę o tem...

Bo na cóż taka świadomość,
O ludzie, zbytnio ciekawi!? —
Poranek zeszedł nad drogą,
Droga się w blaskach pławi!

Ach! dokąd wy tak spieszycie,
O ludzie, tęsknotą gnani?
Tu las jest, tu potok szumi,
Wyzwolon z głaźnej otchłani...

Nie ma tu nic szczególnego...
Dzwon się odezwał z wieży,
W czerwcowych omżach południa
Łąka rozkwitła leży.

Pozbywa się moje serce —
O ludzie, żyjący nadzieją! —
Wszelakiej skazy, gdy widzę,
Jak trawy śmiać się umieją.

Gdy, stojąc w progach tej chaty —
O ludzie, żądni bogactwa! —
Wyciągam ręce i zgarniam
Skarby bożego władztwa...

Nie ma tu nic szczególnego...
Bo jakiż cud tu być może,
Gdzie w wieczór na górskich szczytach
Żagwią się ognie boże?

Zagasły!... Że zgasły tak prędko —
O ludzie, żywota chciwi! —
I że zagasnąć musiały,
Nikt tu się temu nie dziwi.

Z głębin tych mroków błękitnych —
Walczący z chwiejnością ludzie! —
Przypływa ku mnie dziś pewność
O cudzie i o nie-cudzie...

Nie ma tu nic szczególnego,
Żadnych tu dziwów świata:
Fundament z skalnych odłamów,
Z płazów świerkowych chata.

IV

O dolce farniente!...

O dolce farniente!
O wczasy! O spoczywania!
Powiew na niebie obłoki rozgania,
Brzemieniem deszczu wzdęte.

Ruszył się liść na drzewie,
Boży go oddech potrąca —
W ślad za nim piersi tych liści tysiąca
W głośnym rozbrzmiały śpiewie.

Zmilkły, nim serce człecze
Zdołało pojąć ich nutę...
O tajemnice, zaledwie odczute!
Niedowidziane odwiecze!...

Po górach śniegi leżą,
Słońce je rychło zamęczy:
Topnieją w oczach — patrz! u tej przełęczy,
Tam, pod tą skalną wieżą!...

Zrywa się nagła burza,
Dalekie gdzieś słychać grzmoty —

Nad złotym jaskrem krąży motyl złoty,
W kielich się jego zanurza.

Minęła bokiem, stroną,
Konają słabe jej echa —
Ziół swych błękitem moczar się uśmiecha,
Krase kosaćce płoną.

Podaj mi chętne dłonie,
W uścisku swym zamknij moje:
Niemal zawstydzon przed tobą dziś stoję,
Że śmiałem sięgnąć po nie.

O dziwy niepojęte!
O nieba szafirze gładki!
O ócz patrzących wieczyste zagadki!...
O dolce farniente!

O dolce farniente!...

Ci spieszą się do miasta,
Tamci zaś idą gdzieś w pole,
A ja na progu swoim usiąść wolę —
Gnuśność żywota wzrasta.

Księgę do ręki biorę —
Wczytam się w mądrość człeka,
Zapisywaną od wieka do wieka...
Snadź wziąłem ją nie w porę:

Gołębie się strzepnęły,
Zabrały mi wszystkie myśli...
Jedni już z targu, drudzy z pola przyśli,
Nie dziwią mnie swymi dzieły...

Kurz podniósł się na drodze —
O, stóp on mych nie opyli,
A jeśli, umiem go strząsnąć tej chwili,
Po ścieżkach wyśnionych chodzę.

W głąb idę może ciemną,
A może nadzwyczaj jasną...
Po co się pytać, czy gwiazdy mi zgasną,
Ty, czuję, dążysz ze mną.

Dwie tęcze się zjawiły
Na widnokręgowym kresie:
Jak dumnie łuk ich ponad ziemię pnie się,
Siedmioma barwami opiły!

Napój to z winnic słońca —
Pić rozwartymi go usty,
A potem w górę podnieść kielich pusty:
Trzeba go chłonąć bez końca...

O dolce farniente!
Ty duszy najdroższe mienie!
Ślepoto oczu i jasnowidzenie,
W godzinie wczasów poczęte!

O dolce farniente!...

V

W niejednej ci ja biesiedzie
Uczestniczyłem wesołej —
  Słuchajcie mnie, przyjaciele! —
Uczeń aż nazbyt pojętny
I z nienajgorszej szkoły...

Gdy powszedniości zbyt wiele
Zalazło w progi otwarte —
  Hej, utęskniony wieczorze! —
Serca wszelakie złoto
Na jedną rzucałem kartę.

Nigdy się, było, nie drożę:
Upust dający wymowie —
  Fala o falę uderza —
Kielich wznosiłem do góry,
By wasze wychylić zdrowie.

Mieliście grubego zwierza,
Wielce mu radzi, przeradzi —
  Bezdenne są źródła troski —
Że ogień skrzył się nam w oczach,
Jak wino płynące z kadzi.

Że jakiś wysłaniec boski
Chwytał nas wszystkich w ramiona —
Lubię ja zorze, gdy gasną —
Tłumacząc, iż nie ma różnicy,
Czy ktoś pożyje, czy skona...

Byliście wdzięczni, że własną
Możecie rozrządzać duszą —
O płodne w owoce lato! —
Bez onych względów, zastrzeżeń,
Co bujność rozkwitu głuszą.

Wdzięczni byliście i za to,
Że godnych ja chwil nie pominę —
Człek nie wie, gdzie znajdzie radość —
Aby was wszystkich raz jeszcze
Zaprosić kiedy w gościnę.

I oto czyniący zadość
Danemu tak szczodrze słowu —
Nie dla mnie ten grób się tam kopie —
Korzystam ze sposobności,
Wzywam i witam was znowu.

Zaiste, na wielką stopę
Żyję w tym moim salonie —
Lubi się chełpić me serce —
Obszerny po widnokręgi,
U stropu słońce płonie.

Patrzajcie, co za kobierce!
Tkane rękami Boga! —
Innym nie sprzyjam warsztatom! —
Robota ogromnie wzorzysta,
Materia przedziwnie droga...

Za legowisko światom
Od wieków ci one służą —
Na przemian sen mija się z jawą —
Śmierć chodzi po nich i życie
Stopą ponadmiar dużą...

Siądźcie tu, pod tą złotawą,
Lśnistą koroną jaworu —
Żywizno błękitnych pował! —
Lub pod tym smrekiem, pod brzozą,
Pod baldachimem boru.

Sam On ci je wyhodował
Na wasze dziś odwiedziny —
Oczu przymglonych ślepoto!... —
Jeśli wam nie w smak przyjęcie,
Nie z Jego to będzie winy.

Jest i kapela!... Są oto
Gęśle, wybrane z gęśli —
Pieśń bywa bezbożna i święta —
Snadź aniołowie te dźwięki
W bród po przestworzach rozstrzęśli.

Owady brzęczą, ptaszęta
Z drzewem i kwiatem świergocą —
O duszo ty nieobyta! —
I pierś człowieka rozbrzmiewa
Niedoli i doli swej mocą.

Chłońcie ten napój do syta!
Innego wina tu nie trza! —
Zagadki czekają w otchłani... —
Wymowy waszej upusty
Napełnią kręgi powietrza.

Rozgrzani i rośpiewani
O mego gazdostwa cudzie —
  Odkryją się kiedyś tajnie —
Ujmiecie prawicę bożą,
Choć tylko jesteście ludzie.

Po ziemi chodząc zwyczajnie,
Przecież swój ślad poznaczycie —
  Godzina goni godzinę —
Krokami jak śmierć wielkimi,
Krokami wielkimi jak życie...

O, chodźcie do mnie w gościnę!...

VI

O starowierne melodie!
O bogomodlne organy!
Słucham was dzisiaj, jak dawniej,
Do głębi rozmiłowany.

Przychodzę pod zrąb sczerniały
Modrzewiowego kościoła
I słucham, jak głos mnie odwieczny
Do wielkich wyznań woła.

Przytulon do lipy stuletniej,
Oszołomiony jej wonią,
Ulegam świętym urokom,
Co w pieśni organnej dzwonią.

Zda mi się, że w jej potędze
Odzywa grom się znowu,
Gdy Twórca nadawał kształty
Swemu płodnemu Słowu.

Że w tych przycichłych akordach —
O jakżeż czekam ja na nie! —
Odzywa się Jego serdeczne
Tych kształtów umiłowanie.

Czuję, zagubion w przedwieczu,
Jak dusza się moja przemienia,
Jaka ją żądza porywa,
Jakie ją wznoszą pragnienia.

Z gliny, rzuconej mym rękom,
Chciałbym ulepić dzieło,
Co serce by miało organne,
Co z Niego początek wzięło.

Wiem: nie dorówna ci ono
Prawdzie Pierwszego Mistrza,
Ale odbijać ją będzie,
Jak niebo woda najczystsza.

Chciałbym, ażeby się miłość
Spełniała w tworzącej duszy,
By oczy jej były otwarte
I zawsze otwarte uszy.

Wiem: nie dorówna ci ona
Jego wszechwidnej miłości,
Ale ku źródłu swojemu
Iść będzie jako najprościej.

I oto gdy w wiejskim kościele
Organy brzmią rozmodlone,
Ja z jarzmem tych pragnień moich
W Jego wędruję stronę.

Przytulon do lipy stuletniej,
Na łany spieszę, nad zdroje,
Z pól Jego zbieram materiał
Na czyn mój, na dzieło moje.

Czasem mnie ktoś zastanowi,
Najpłońsza zatrzyma trawa
Lub fali jeziornej dalekie
Wspomnienie w poprzek mi stawa.

I wówczas mi się wydaje —
O dumo, idąca z Boga! —
Że miłość moja tak wielka
Jak w krąg ta ziemia droga...

O starowierne melodie!
O bogomodlne organy!
Słucham was dzisiaj, jak dawniej,
Do głębi rozmiłowany...

VII

Powiedz mi, powiedz,
Jaki cię ku mnie sprowadził manowiec?
Zza jakiej góry, zza jakiej rzeki
Przybyłaś tutaj, w świat mój daleki,
Pewny swej drogi wędrowiec?

Co za wyrocznie
Rzekły ci prawdę, tak dzisiaj naocznie
Zadowoloną z przynęty swojej,
Że w mego domu cichej ostoi
Znużona stopa twa spocznie?

Złóżże, me dziecię,
Sakwę podróżną, co barki ci gniecie,
I pokrzep siły czarą miłości:
Dla najprzedniejszej jest ona z gości,
Dla jednej już tylko na świecie...

A jeśli padnie
Kropla goryczy, co leży gdzieś na dnie,
Zawiedzionymi nie krzyw się usty:
Ja-ć nie poszedłem między oszusty,
Nie chciałem ubiec cię zdradnie.

Takie są dzieje,
Że i najczystsza fala, co jaśnieje
Odblaskiem nieba, ciemno się skłębi
I muł, i zielsko wyrzuci z głębi,
Gdy wichr niezwykły zawieje...

Lecz po cóż o tem?
Dzięki ci, dzięki, że takim mnie złotem
Obdarowujesz, wybranym z skrzyni,
Gdzie się na życie ofiara czyni,
Gdzie nie ma paktów z odwrotem.

Oczy ci płoną
Na myśl, że, taką niepowszednią stroną
Przybywszy skądsiś w te progi,
Bogacisz dom mój ubogi
Swą wiarą nieprzemożoną.

Lico-ć się pali,
Kiedy mi szepcesz, że widzisz gdzieś w dali,
Jak za tą skonów powłoką ciemną
Jakąś światłością świecim wzajemną
Śród tych, co dnia nie zaspali.

O, niebogato
Za miłościwe odpłacam się lato:
Idąc w tę przyszłość za twymi tropy,
Chciałbym ci słońca rzucać pod stopy,
A daję-li pieśni ci za to.

Ale ty właśnie
Mówisz, że przy nich wszelki skarb ci gaśnie,
Albowiem celem twoim przybycia
Było uczynić hymn z mego życia,
W wieczyste zmienić je baśnie.

Powiedz mi, powiedz,
Jaki cię ku mnie sprowadził manowiec?
Zza jakiej góry, zza jakiej rzeki
Przyszłaś z tą wolą w świat mój daleki,
Zwycięstwa pewny wędrowiec?...

VIII

Swobodna jest moja dusza,
Nikt jej skrępować nie zdoła,
Miłuje-ć ona swe skrzydła,
Cześć żywi dla swego czoła.

Czy loty jej górne, czy niskie,
Czy nieba, czy ziemi jest bliżej,
Nigdy na żaden się ukaz
Nie ugnie i nie poniży.

Nie władnie tu żadna potęga
Nad jej wieczorem czy ranem,
Sama jest sobie monarchą,
Sama jest sobie kapłanem.

Swój własny ma ona kościół,
Królestwo swe osobiste,
Parafian ma i poddanych
Wielce dobraną listę.

Swych praw świadoma i dzierżaw,
Nieraz i w pychę porasta,
Myśli, że nie ma już nad nią
Swobodniejszego właśta.

A przecież bywają chwile —
O sił tajemnych przymierze! —
Iż coś ją więzi i pęta,
Coś ją na arkan bierze.

Nasturcje, co w naszym ogródku
Puściły kiełki i rosną,
W raba zmieniają mą duszę
Potęgą swą bezlitosną.

Kwiat złotogłowia, co właśnie
Dziś zakwitł nam w całej ozdobie,
Każe mej duszy po cichu
Położyć skrzydła po sobie.

Ten kret tu, co pod korzeniem
Tych maków przyziemnych ryje,
Przymusza ją, jak poddankę,
Bezwolną uginać szyję.

Ta wrona, co dla swych piskląt
Chleb nam ze stołu kradnie,
Potrzebę i rozkosz niewoli
Budzi w jej sercu na dnie.

I dusza ma, wielce posłuszna,
O prawa się swoje nie pyta,
Z podwiązanymi skrzydłami
Stoi w podziwie jak wryta...

Swobodna jest moja dusza,
Nikt jej uniżyć nie zdoła,
Ale są chwile, gdzie kornie
Musi pochylać czoła.

IX

Gdy idę tak, nie wiem, dlaczego
Pod skwarem czerwcowym nieba,
Wydaje mi się niekiedy,
Że mi spoczynku potrzeba.

Pragnąłbym usiąść przy zdroju,
Wody zaczerpnąć rękoma
I skroń ostudzić płonącą
Od drogi, co taka jest stroma.

Pragnąłbym zgasić pragnienie,
Które tak w gardle mnie piecze,
I w cieniu drzew tych wyciągnąć
Znużone kości człowiecze.

Ale się lękam, by czasem
Nie zmógł mię sen w tym bezczynie
I świata mi nie przesłonił
Mrokiem, co stamtąd przypłynie.

Chcę go zobaczyć z tej góry
W krwawiących ogniach zachodu,
Jakem nań patrzał o wschodzie —
Tak dawno temu, za młodu.

Chcę widzieć, jak długo się będzie
Palił ten obraz żywota,
Te skalne olbrzymów czoła,
Ta masa szczerego złota.

Chcę widzieć, jak skończy się walka —
Mgły na nie z nizin ruszyły —
I czy też i moją duszę
Z twardej wykuto bryły.

Chcę — i o, wiem już, dlaczego
W czerwcowe-m wybrał się skwary —
Z człowieczą zmierzyć się Dolą
Na siły i na zamiary.

Dotychczasowe me drogi
Przez puszcze i przez wyręby
Uczyły, że bywa konieczność
Zaciskać pięści i zęby.

Wiem, że te cuda zobaczę —
Cudem też będzie wytrwanie —
Gdy cienią pogardzę i źródłem,
Gdy nie obejrzę się na nie.

Albowiem czas mój jest krótki —
Rychło zapadnie krąg słońca...
I oto idę w tej spiece,
Nie spoczywając do końca.

Idę z tym większą ochotą,
Bo w drodze tej — o czym się nie śni
Z was niejednemu, o ludzie! —
Głazy mi nucą swe pieśni.

Rycerskie to są melodie,
Sławiące wielkie przeboje,
O nie mi dzisiaj idzie,
Chodź snadź u schyłku już stoję.

Wiem już, dlaczego, spieszący
Ku ostatecznej światłości,
Nie myślę już gasić pragnienia,
Wyciągać znużonych kości.

X

O wielcy i syci tej ziemi!
Cóż z wami łączyć mnie może,
Choć głodno spać się nie kładę,
Choć, miast barłogu, mam łoże?

Choć biała na mnie koszula,
Z tych samych lnów uprzędzona,
I choć jednakie nam sukno
Pokrywa nasze ramiona?

Choć nieraz przy wspólnym stole
Z jednakich jemy talerzy,
Nad czystym schyleni obrusem,
Co dziesięć łokci mierzy?

Choć z szklenic o złotym brzegu,
Rżniętych w kosztownym krysztale,
Jednakie pijący wino,
Z wami je razem chwalę?

Cóż może mnie skuwać z wami,
Jakie ogniwa i sploty,
Choć wspólne snadź mamy grzechy
I wspólne, jeśli są, cnoty?

Choć z jarzma dziś wyprzągnięty,
W rozsypiającym tym lecie
Bezczynnie się włóczę po drogach
Tak samo, jak wy to umiecie?

Choć mógłbym z niejednym z waszych
Słuchać dziś szeptów tej głuszy,
Bo i wy przecież także
Wrażliwe miewacie uszy —

I z was zamyśleńcy powstali,
Patrzący na świat nieobłudnie,
Co jakżeż głęboko umieli
Sondę zapuszczać w studnię!

Jakież mnie wiążą z wami
Łączniki, węzły i spójnie,
Choć jedno z błękitów słońce
Spogląda na nas tak czujnie?

Chociaż ten grom, co w tej chwili
Zabójczym zahuczał głosem,
Mógłby tu mnie razem z wami
Jednym powalić ciosem?

Choć śmierć ma, tak samo jak wasza,
Licha być może i podła —
Z uwiądu, co musiał zejść z drogi,
Która ku chwale wiodła?...

Te na samotnych przechadzkach
Zadaję sobie pytania,
Pragnący posiąść tę miłość,
Co się ku wszystkim skłania.

Lecz czuję, choć pęd swych zastrzeżeń
Trzymam usilnie na wodzy,
Że sercu mojemu najbliżsi
Maluczcy i przeubodzy —

Że wszystko, co tylko jest w duszy
Z najszlachetniejszej przędzy,
Ludzkiemu oddaję cierpieniu,
Ludzkiej poświęcam nędzy.

XI

Przestałem się wadzić z Bogiem —
Serdeczne to były zwady:
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą nie ma już rady.

Tliło w mej piersi żarzewie,
Materiał skier tak bogaty,
Że jeno dąć w palenisko,
A płomień ogarnie światy.

Wiedziały o tym potęgi,
Co gdzieś po norach drzemią
Albo z bezczelną jawnością
Jak mgły się włóczą nad ziemią.

Wiedziały ci o tym moce,
Które złośliwość popędza,
By szły powiększać nędzę
Tam, gdzie największa jest nędza.

Wiedziały ci o tym zastępy,
Które czyhają zza węgła
Lub w okna patrzą z szyderstwem,
Czy zbrodnia się nie wylęgła?

Wiedziały, że jeno się zbliżyć
Ku popiołowi mej kuźni,
A serce od razu wybuchnie,
Zuchwale zaklnie, zabluźni.

Że swym bluźnierstwom i klątwom
Czynu wyciśnie znamię,
Płonące żądzą odmiany,
Przewrotu, co berło Mu złamie.

I dzisiaj nie żal mi tego,
Najmniejszej nie czuję skruchy,
Bom ci nie żaden służalec
Na własne serce głuchy.

Bo w sporze o szczęście świata
Swawolność mi była daleka,
A tylkom korzystał z prawa
Wojującego człowieka.

Jeno że dzisiaj to widzę,
W patrzeniu dosyć już biegły,
Czego w zamęcie walki
Źrenice me nie dostrzegły:

Nie ruszał ci On naprzeciw
W rynsztunku wspaniałym dziwie,
A tylko na tronie Swym siedząc,
Uśmiechał się pobłażliwie...

I dziś ja sam uśmiechnięty,
Gdy krzyczą: „w żelazo się okuj!",
Jak ongi miecz niosłem walczącym,
Tak dzisiaj niosę im spokój.

Lecz już nie wadząc się z Bogiem,
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dnie mojego spokoju
Żar świętej wojny tleje.

XII

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skroń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wąziutkie ręce!

Lubię, gdy stajesz ze mną
Na tym tu wiejskim balkonie,
Który poczerniał od deszczów,
Lecz dzisiaj mi w blaskach tonie.

Lubię, gdy z tego dzbana
Podlewasz kwiaty na grzędzie,
Marząca lub głośno mówiąca,
Jaka to rozkosz z nich będzie!

Lubię, gdy siedząc przy stole,
Sięgasz po kromkę chleba
I dzieląc ją, dajesz mi cząstkę,
Czy trzeba mi, czy nie trzeba.

Lubię, gdy gubiąc się w dali,
Gdzie Wierch się rozsiadł Lodowy,
Czoło, przyćmione zadumą,
Do mojej tulisz głowy.

Ale najbardziej ja lubię
Ciekawość, co z oczu ci tryska,
Gdy wracam, jak zwykle, od pola,
Od lasu, od rzeki łożyska.

Gdy wracam z codziennej drogi,
Cały rozpłomieniony,
Pytasz się, cała w płomieniach,
Jakie przynoszę plony?

Czy w szumie wody lub drzewa
Nutę odkryłem świeżą
I czym już doszedł, co żyje
Za nieba i ziemi rubieżą?

Czy mgły się przedarły, czym słyszał,
Jak dzisiaj, melodie skowrończe
I kiedy z zwątpieniem w pieśń własną
Raz ostatecznie zakończę?

Czy miałem tę szczęsną chwilę
Spojrzenia do głębi wnętrza,
By się przekonać, że jeszcze
Jakiś tam pokład się spiętrza?

Że w duszy niewyczerpanej —
Niech prawda ta będzie prawdziwa! —
Na hymn, co zagaśnie-li z życiem,
Godnego starczy paliwa?

Strasznie to lubię, gdyż czuję,
W dolę zapatrzon wzajemną,
Że w takich mi drogich godzinach
Najbardziej żyjesz ze mną.

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skroń dotąd nie pomarszczona,
Białe, wąziutkie ręce!

XIII

Okrutna dziś spadła ulewa —
Mgieł nieprzeparty nawał
W północ zamienił poranek,
Co kłam swej prawdzie zadawał.

Urągająca swym brzegom,
Ta zaperzona rzeka
Przed własnych gniewów szaleństwem
Z groźnym przestrachem ucieka.

Nie troszcząc się o nic, pożółkła,
Toczy w swej złości głębokiej
Od łon urwane wieczystych
Ciężkie, kamienne bloki.

Słychać jej pomruk na milę —
Dnia on robotę zagłusza,
Choćby w niej całkiem ugrzęzły
I ciało twoje, i dusza.

Choćbyś się zapamiętał
I jął się młyńskiego koła,
By nie zapomnieć o ziemi,
On cię od ziemi odwoła.

Choćbyś się w jarzmie powszednim
Tak kochał, że śniłbyś-li o tym,
Jakby najbardziej się zgarbić,
Wyprzężon będziesz tym grzmotem.

Pójdziesz, jak ja w tej godzinie —
Z dziwu ci grzbiet się wyprości —
By patrzeć, jak żywioł tym ścianom
Głaźne wyżera wnętrzności.

Pójdziesz, jak ja dziś, w ten mgławy
Czas, blaskiem słońca nie zdarty,
By odczuć żądzę czytania
Z tej przeolbrzymiej karty.

Lecz choć widoczne są znaki,
Dostępne dla wszystkich w świecie,
Nie będziesz się mógł rozeznać
W ogromów tych alfabecie.

Rozsadzać cię będzie pragnienie
Powzięcia dokładnych wieści,
Lecz jasna się prawda w twej głowie
Snadź nigdy już nie pomieści.

Bo strach już pomyśleć, już człowiek
Niemal obłędu jest blisko,
Że się lat setki tysięcy
Powtarza to widowisko.

XIV

Na razie, mówiący prawdę,
Nie palę się całkiem do śmierci,
Przyjdzie tu sama tą drogą
Albo po wąskiej tej perci.

Całkiem też ludzi rozumiem
Krzyczących, że wszystko im jedno,
Jaki ich rydel oklepie,
Gdzie zgnije śmiertelne ich sedno.

Ale że umrzeć raz trzeba,
A marzyć jest wolno każdemu,
Więc mam i ja prośbę w sprawie
Ostatecznego Eremu.

Do was się zwracam, najbliżsi,
I do was, cni przyjaciele,
Byście z tym śmiesznym zewłokiem
Nie mieli zachodów zbyt wiele.

Na chłopską połóżcie furę,
W cztery schowawszy go deski,
Niech w takim zajeżdża tryumfie
Ten pomiot chuci niebieskiej.

Jubilat ciężkich lat życia,
Co swą i cudzą niedolę
Przetrawiał, niech w takim zbytku
Na to zajeżdża pole.

Bo tutaj, na tym pustkowiu,
Gdzie nieraz, dumając o świecie,
W poranki-m się błąkał rosiste,
Głęboki mi dół wykopiecie.

Albo, jeżeli już łaska,
Wybierzcie mi przystań nad rzeką,
Tu, nad tą burtą kamienną,
Pod szumów wieczystych opieką.

Tu-m ja w słoneczne południa,
Z odłamu tej lśnistej skały,
Widywał, z jaką potęgą
W przestwór te szumy się rwały.

Lub tutaj — o żądzo zbyt górna! —
Przy udeptanej tej drodze,
Gdzie nieraz, gwiazdy łowiący,
Wieczorem, bywało, chodzę.

A mamże być jeszcze natrętnym —
O, jakem upokorzony! —
Na grobie mym raczcie posadzić
Dwa świerki lub dwa jesiony.

Wszakże przez wszystkie dni swoje,
Tajemnych głosów ciekawy,
Nad dźwięki lubiłem najsłodsze
Pogwary ich i rozprawy.

Pogardził Bóg lichym ciałem,
W pierwotny proch je rozkrusza,
Lecz tegom ja wielce pewien,
Że wielce mu drogą jest dusza.

Więc myślę, że jej pozwoli
Przychodzić od czasu do czasu
Nad rzekę, na pól tych pustkowie,
Na drogę, do gór tych, do lasu.

Że jej pozwoli siadywać
Na darni zielonej mogiły
I słuchać jesionów czy świerków,
Co szpik jej powłoki wypiły...

Nie myślę jeszcze o śmierci,
Ale że umrzeć raz trzeba,
Więc proszę was o tę ostatnią,
Razową kruszynę chleba.

XV

O Wierchu, tŷ Wierchu Lodowy!
I znowu się zwracam do ciebie,
Olbrzymie, rozbłękitniony
Na tym błękitnym niebie.

Stoisz naprzeciw mych okien,
Codziennie widzieć cię muszę,
Zaglądasz z swej dali w mą izbę,
A nieraz, zda mi się, w duszę.

Zda mi się, że nieraz się pytasz,
Skąpan w światłościach południa,
Czy jeszcze jest coś w moim wnętrzu,
Co drogę mi w słońce utrudnia.

I owszem, przyznaję, że jeszcze
Mrok jakiś kryje się na dnie,
Cień świata, co rwał mnie w swą otchłań,
I dzisiaj mi radość mą kradnie.

I dziś mnie, o Wierchu promienny,
Z koła wytrącić może
Gdzieś jakaś umarła wierzba,
Gdzieś gradem pobite zboże.

Gdzieś jakiś wybladły człowiek,
Którego niweczy nędza
Albo choroba, dziś jeszcze
W chmurną mnie żałość zapędza.

Tak zwykłe, powszednie sprawy,
Takie konieczne zjawiska,
A ich przyczyna i skutek
Nieomal w rozpacz mnie ciska.

Ale mnie wnet odbiegają
Te kłamu zwiastuny i gońce,
Dziś moją prawdą wszechwładną
Zieloność, woń łąki i słońce.

Przenika mnie blask ich i świeżość,
I twoja skalista władza,
O Wierchu, kowany w granicie,
Krew świeżą mi w żyły wprowadza.

Czuję się znowu jak dziecko,
Młodość mi pierwsza powraca,
Weseli mnie dzień ten słoneczny,
Żywiołów raduje praca.

Czuję, że dzisiaj mi skrzydła
Potrójnie się wzmogły, poczwórnie,
Żem gotów na lot się odważyć
Nad te podniebne turnie.

Pytasz się, Wierchu, swym blaskiem
Patrzący do mego wnętrza,
Czy wiem już, że wszystkim jest słońce,
Że to potęga najświętsza?

Wiem dobrze, a jeśli się echem
Pomrok odezwie dalekiem,
Azali być może inaczej?
Wszak człowiek jest tylko człowiekiem.

O Wierchu, ty Wierchu Lodowy!
I znowu się zwracam do ciebie,
Olbrzymie, rozbłękitniony
Na tym błękitnym niebie.

XVI

Przynoszę ci kilka pieśni
Na nutę niewyszukaną,
W górach je naszych zebrałem,
Przy stawach, pod skalną ścianą.

Przy stawach, pod skalną ścianą,
Na tej spadzistej przełęczy,
Gdzie śnieg się jeszcze w tej porze
Błagalnie ku niebu wdzięczy.

Błagalnie się wdzięczy ku słońcu
Ta bryła srebra szczera,
A ono z promiennym uśmiechem
Zwolna jej serce pożera.

Pożera zwolna jej serce
I potem, zadowolone,
Podąża w swój pałac zachodu
W tryumfu się ubrać koronę.

W koronę tryumfu się stroi,
A ona, ta śniegu bryła,
Pociesza się w samotności,
Że jeszcze snadź będzie żyła.

Że jeszcze snadź będzie żyła,
Że wróci ku niej krąg słońca
I że, promieniejący,
Pochłaniać ją będzie do końca.

Pochłaniać ją będzie do końca,
Aż się wypełnią jej dzieje,
Aż wszystka, spragniona miłości,
W uściskach jego stopnieje.

W uściskach jego stopnieje,
Nic po niej nie zostanie,
Znaczyć-li będą jej miejsce
Wieczyste, kamienne granie.

Wieczyste, kamienne granie,
Czarne, błyszczące skały,
Co same się w żarach słonecznych
Posępnie rozmiłowały.

XVII

Przynoszę ci kilka pieśni,
Umiłowanie ty moje —
W góry poszedłem po nie,
Między siklawy, nad zdroje.

Między siklawy, nad zdroje,
Na turni strome urwiska,
Gdzie w otchłań omglonych żlebów
Ścieżka się wije śliska.

Ścieżka się wije śliska,
Stacza się, rzuca, opada,
Strachy się tłumią po niej,
Śmierć chodzi po niej rada.

Śmierć chodzi po niej rada,
Lecz cóż mi dziś myśleć o śmierci?
Widnokrąg życia ja widzę
Z tej niebezpiecznej perci.

Z tej niebezpiecznej perci,
Co tak się pręży i kurczy,
Znak bezpieczeństwa dostrzegam,
Wybawiający, twórczy.

Wybawiający, twórczy,
A bliski, że jeno go dostać
Ustami, twój obraz mi zalśnił,
Twoja codzienna postać.

Twoja codzienna postać,
Tak, jak widuję ją w domu,
Rozradowała me serce
U żlebu, u tego złomu.

U żlebu, u tego złomu,
U skały, co grom ją rozkrusza
Czy wiatry ścierają chciwe,
Poczęła śpiewać ma dusza.

Poczęła śpiewać ma dusza,
A w tejże chwili z nią razem
Potężniał mi pogłos wieczności,
Zawisły nad wodą, nad głazem.

Zawisły nad wodą, nad głazem,
Stugędźbny chorał promieni
Zdwojoną rozlał się mocą
Po widnokrężnej przestrzeni.

Po widnokrężnej przestrzeni
Blask słońca zagrzmiał jaskrawy,
Huki mu zdwojonymi
Grzmiące wtórzyły siklawy.

Grzmiące podwójnie siklawy
Potoków zdwojone rzesze
Wtórzyły pieśni mej duszy,
Mojego serca uciesze.

Mojego serca uciesze
Snadź wtórowała i ścieżka,
Po której śmierć chodzi rada,
Na której strach chętnie mieszka.

XVIII

Przynoszę ci kilka pieśni,
W cichym je składam pokłonie —
Proste i szare jak głazy:
W góry poszedłem po nie.

W góry poszedłem po nie,
Gdzie wierchy gubią się w niebie,
Jak serce ulatujące,
Kiedy przeczuwa ciebie.

Kiedy przeczuwa ciebie,
Ogarnia twojego ducha,
Co, zapatrzony w przyszłość,
Tajemnych głosów jej słucha.

Tajemnych głosów jej słucha
Na wielkiej, upartej wysłudze
Tego, co może dla świata
Jest niepojęte i cudze.

Jest niepojęte i cudze,
Albowiem nie każdy w tym tłumie
Ma szczęścia swojego świadomość,
Nie każdy los swój rozumie.

Nie każdy los swój rozumie,
Z prawem wieczności zżyty,
Jak ta błękitów kopuła,
Która osłania szczyty.

Szczyty strzeliste osłania,
W świetlne zasnuwa je dymy,
Że nie są głaźnymi już zwały,
Lecz niby duchy-olbrzymy.

Tak, niby duchy-olbrzymy,
Które głębokie swe oczy,
Pełne wnętrznego życia,
W jeziornej topią przezroczy.

W jeziornej topią przezroczy,
W stawów głębinie tęczowej,
Za skalne ująwszy się ręce,
W zadumie schyliwszy głowy.

W zadumie schyliwszy głowy,
Snadź marzą kamienne te stadła
By ludzie, świadomi swej doli,
Co na nich, jak przymus, padła.

Jak przymus padła ci na nich
I, nieugięta, wciąż każe
W głąb mieć zwrócone oczy,
W oddal zwrócone twarze.

Twarze zwrócone w oddal,
Leżącą za kresem ziemi,
Gdzie duchy, jak gór tych olbrzymy,
Zbrojami lśnią stalowemi...

XIX

Przynoszę ci kilka pieśni,
Z gór ci je naszych przynoszę,
Gdzie szczęścia żądny wędrowiec
Szczęsne znajduje rozkosze.

Szczęsne znajduje rozkosze,
Kiedy wczesnego rana
Zobaczy, jak cicho się błyszczy
Jeziora tafla lustrzana.

Jeziora tafla lustrzana,
Zielona, bez ruchu leży,
Ujęta w wieniec granitów,
W krąg pawiobarwnych obrzeży.

Śród pawiobarwnych obrzeży,
Skąd sen snadź nieprędko ulata,
Widać, że zbudzić się nie chce
To cudo rannego świata.

Śni cudo rannego świata —
A nad nim równe mu cuda,
Turnie wartują potężne,
Wielkolud we wielkoluda.

Wielkolud we wielkoluda,
Gdzieś przed wiekami stworzeni,
Nie mogą się nadziwować
Rozbłękitnionej zieleni

Rozbłękitnionej zieleni
I ja się nadziwić nie mogę:
Przystaję i patrzę w jej ciszę,
W przeznaczeń idący drogę.

W przeznaczeń idący drogę —
Kto mi jej koniec wywróży? —
Już bym też dzisiaj nie pragnął
Żadnego gromu ni burzy.

Żadnego gromu ni burzy,
Żadnego sił roztargania,
Jeno spokoju, jak spokój,
Co się z tej głębi wyłania.

Z głębi się jasnej wyłania —
Głaźne-ć ma ona podłoże,
Nie zielska, nie chwasty namulne,
Lecz niebo promienne, boże.

Niebiosa promienne, boże,
Góry śniegami poryte
Rzucają blask swój i kształt swój
W tę zwierciadlaną płytę.

W tę zwierciadlaną płytę
Rzuciwszy czar swej postaci,
Wychodzą z kąpieli spokoju
Promienniej, pełniej, bogaciej.

Promienniej! pełniej! bogaciej!
Okrzyki przedziwnej treści!
Znasz je i wiesz, jaka pewność
W błękitnym spokoju się mieści.

W błękitnym spokoju się mieści
Widzenie rozkosznej oddali,
Gdzie cel mej wędrówki dzisiejszej
W skrach nieśmiertelnych się pali.

W skrach nieśmiertelnych się pali
Szczytu chwalebny diadem —
Idę ja dzisiaj ku niemu,
Ty moim podążasz śladem.

Ty moim podążasz śladem,
A z tobą ten spokój głęboki,
Co jasność daje mym oczom
I w pewność uzbraja kroki.

O, w pewność zbrojne wy kroki!
O, duszo, jak toń zwierciadlana,
Którą w okolu granitów
W błękitne-m widywał rana...

XX

Przynoszę ci kilka pieśni —
Podarek może-ć i miły:
Kolebka ich w głazie ciosana,
W górach się one zrodziły.

W górach się one zrodziły,
Tam, gdzie dwie limby pod strażą
Odwiecznych, kamiennych złomisk
Tulą się k'sobie i marzą.

Tulą się k'sobie i marzą,
Na skalnej zawisłe krawędzi,
Do stóp się im potok słania,
Co z wierchów słonecznych pędzi.

Z wierchów słonecznych on pędzi
Z przejmującymi rozgwary —
Słuchają go chciwe kosówki,
Las się wsłuchuje stary.

Las się wsłuchuje stary,
Podszywający granie —
Jakby na wieki oniemiał,
Tak go przemogło słuchanie.

Tak go przemogło słuchanie,
Lecz wnet się otrząśnie z milczenia:
Wichry się skądsiś ruszyły,
Las się w organy przemienia.

Las się w organy przemienia,
Pochwałę burzy śpiewa,
Co z łyskiem i gromem wypadła
I zmiata stuletnie drzewa.

Stuletnie druzgoce drzewa,
Bloki granitów strąca,
Siklawy z łożysk wyrzuca,
Łkająca, tryumfująca.

Łkająca, tryumfująca,
Za chwilę traci już siebie,
Ze strachu do want się przyciska,
W przepastnym przepada żlebie.

W przepastnym przepada żlebie,
A z wnętrza przycichłej doliny
Wyrasta znów wał granatowy,
Z mgły się wychyla sinej.

Z mgły rzedniejącej, sinej,
Co resztką już kłębów swych dymi,
Oczyszcza się łańcuch szczytów,
Niespodziewany, olbrzymi.

Niespodziewany, olbrzymi,
Wieczności błękitne widziadło,
Stoi, jak wprzódy, bez ruchu,
Choć tyle nań gromów padło.

Tyle nań gromów już padło,
A tu, na zboczy, pod strażą
Szczerniałych złomisk dwie limby
Tulą się k'sobie i marzą.

Tulą się k'sobie i marzą,
Na skalnej zawisłe krawędzi,
Wsłuchane w rozgwar potoku,
Co z wierchów słonecznych pędzi.

Z wierchów słonecznych on pędzi,
Od gromów, co oniemiały:
Słuchają go limby i marzą,
Do wiecznej się tuląc skały...

XXI

Cokolwiek o tym powiecie,
Przed wami nie stanę bosy,
Pętlicy na kark nie zarzucę,
Nie myślę pójść do Kanosy.

Nigdym się nie rwał ku cnocie,
Grzechów spełniłem niemało —
Coż robić? Wszak tylko z gliny
Bóg nam ulepił ciało.

Częstom próbował się oprzeć
Na krokwiach dziadowskich ducha —
Pokusa była za mocna,
Podpora moja za krucha.

Z wszystkich mi stron urągano:
„Raczże opatrzeć się, bracie!
Mróz, mówią, na psa przychodzi,
Mróz przyjdzie srogi i na cię.

Nim się spostrzeże twa pycha
Pewnego wieczora czy rana,
Kostusia się zjawi z klepsydrą
I kosą, niezawołana.

Skurczysz się, skręcisz i chętnie
Staniesz przed nami bosy,
Pętlicę zarzucisz na szyję
I pójdziesz rad do Kanosy.

Jeno że będzie za późno!
Odpadniesz, jak puste plewy,
Jak gałąź zeschła do ognia
Przez Pańskie rzucona gniewy."

Nie troszczcie się o mą przyszłość,
Kraczące kruki wy lube!
Jużem ci sam postanowił,
Aby odwrócić swą zgubę.

Gdy przyjdzie mróz na mą skórę,
Co juści wszystkich nas czeka,
Przywołam ze wsi ku sobie
Najnędzniejszego człowieka.

Dłoń mu uścisnę i powiem:
Chudobaśmy obaj, chudoba!
Nie skąp mi swojej miłości,
Nagrzeszyliśmy się oba.

A zaś stanąwszy przed Gazdą,
Ujrzawszy swojego Sędzię,
Przybywam — rzeknę — z nadzieją
I niechże będzie, co będzie.

Juhas ci jestem pośledni,
Twój pastuch, Panie, lecz owiec
Może-m Ci żadnych nie wypasł,
Cóż ze mną uczynisz? Powiedz!

Nie miałem w sobie pokory,
Nie chciałem nigdy bosy,
Pętlicę na kark zarzuciwszy,
Wędrować hen! do Kanosy.

Lichy jest ze mnie adwokat,
Lecz dla obrony, mój Boże,
Przytoczę, że tylko przed Tobą
Każdej się chwili ukorzę.

Bo i cóż robić, gdyś taką
Raczył nagodzić mi duszę,
Że by pozbyła się Ciebie,
Żadną jej siłą nie zmuszę?

Dodam też jedno, jeżeli
Zbyt będzie lekka ma waga:
Kochałem najlichsze źdźbło trawy
I człeka, co z losem się zmaga.

Najmniejszy listek na drzewie,
Najmniejsza wody kropelka
Czci mojej były przedmiotem —
Tak Twoja władza jest wielka.

Gdybym nie wstydził się ludzi,
Choć ślepi są, głusi i niemi,
Publicznie bym ukląkł na widok
Najmniejszych pyłków ziemi.

Nie moja-ć w tym jest zasługa —
Jakiegoś stworzył mnie, Panie,
Takiego masz mnie! — a jednak
Snadź mi się krzywda nie stanie.

Od Siebie mnie nie odtrącisz,
Choć tam ja nie chciałem bosy
Pętlicy zarzucać na szyję
I czołgać się do Kanosy.

XXII

Ludzie, kochani ludzie!
Gdybym tak mógł, jak nie mogę,
Wyzwoliłbym waszą duszę,
Na skalną pchnąłbym ją drogę.

Nie wleklibyście się wówczas
Jak błędnych owiec gromada,
Nie wiedząc, ku jakiej przełęczy
Zwrócić swe kroki wypada.

Codziennie ja patrzę na was —
Przy pracy i przy weselu:
Żadnej w was sprężystości,
Sprężystszą jest gałąź chmielu.

Jesteście jak worki plewy,
Rozwiąże je lada chłystek,
Przechyli i z śmiechem rozsypie
Ten płony towar wszystek.

Wydaje mi się, gdy widzę
Ten wasz korowód chory,
Że wszelki wygnały wam ogień
Jakieś złośliwe upiory.

A szkoda, że brak wam odwagi
Albo że siły nie macie:
Dla ócz, oderwanych od dołów,
Świat w innej zalśniłby szacie.

Widniałyby wam wierzchołki,
Boskimi wzniesione rękoma,
I ścieżka, co ku nim prowadzi,
Byłaby wszystkim wiadoma.

Męczyłyby się z początku
Wasze niewprawne kroki,
Lecz znój by wam cud wynagrodził,
Ujrzan z tej turni wysokiej:

Te rzędy wierchów pokrewnych,
Z głazu kowane łańcuchy
W czasie, co minął, nim czas się
W tej pustce zagnieździł głuchej.

Te wanty, lecące w przepaść,
Na której tęcza się kładzie,
Te szumy: wieczyście je śpiewa
Wodospad przy wodospadzie.

Te leje gruzów, drzemiące
Na jezior pradawnych grobie,
Te stawy, co żyją zadumą,
Zamkniętą snadź w samej sobie.

Te łoża wymarłych potoków,
Dolin rozległych przekopy:
Kopacz je kopał przemocny,
W kamieniach znać Jego stopy.

Te bezgraniczne przestrzenie
W słonecznej mgle południowej,
Te lasy, te łąki, te lśniste
Bujnego życia ostrowy.

Te wsi wam nie znane, te białe,
Tak nagle odkryte miasta,
Ten ogrom kopuły niebieskiej,
Co nad tym wszystkim wyrasta.

Ta tajemnica tajemnic,
Która się kryje poza tem,
I on, ten Świat niedosięgły,
Władnący gdzieś nad tym światem:

Do tego doszedłszy kresu,
Stanąwszy na takim szczycie,
Uczulibyście, jak wolnym,
Niekrępowanym jest życie...

Ludzie, kochani ludzie!
Gdybym tak mógł, jak nie mogą,
Oderwałbym od poziomów,
Na skalną pchnąłbym was drogę.

XXIII

Takiego, jak kiedyś, zachodu,
Odkąd żyw jestem, nie pomnę:
Fale się ognia rozlały
Na chmur kłębiska ogromne.

Objęły w okrąg niebiosa,
Czerwienią przygniotły wzgórza —
W niesamowitych połyskach
Snadź cała ziemia się nurza.

Trwoga wstrząsnęła ludźmi —
Pytali się, przerażeni:
„W jakąż się grozę nieszczęsną
Krwawa ta wróżba zamieni?

Czy może głód się przyczołga
Z lebiodą i zwiędłym jarmużem?
Lecz przecież pola w tym roku
Ziarnem sypnęły dużem.

Czy jakiś Szatan zawistny
W jesiennym zjawi się wichrze,
Podpali pełne stodoły,
W perzynę obróci śpichrze?

Może w śmiertelnej koszuli
Przez świat przebiegnie powietrze
I zasób jego żywota
Jak pyłek nadrożny zetrze?

Czy nie chcąc, aby się kiedy
Sny wypełniły spokojne,
Bóg, żądny pomsty i kary,
Okrutną ześle nam wojnę?

Lecz za cóż by mścił się i karał?
Czy za to, że w walce widomej
Dla ostatniego ślepca
Ścigają nas same rozgromy?

Czy za to, że w tych rozgromach,
Gdy żadna nam gwiazda nie świeci,
Patrzymy już tylko w nadzieję,
Jak ufne, pokorne dzieci?

Hej! wszechpotężny ty Królu!
Rozgromicielu otuchy!
Nie daj, by po tym zachodzie
Przepadły o Tobie słuchy!

Nie daj, by w ludzkiej rozpaczy,
Głębokiej jak wielkie morze,
Zatonąć miało Twe imię,
Twoje Królestwo Boże!"

Tak z lękiem kłonili się jedni,
Tak drudzy się odgrażali
Z przestrachu, gdy niebo w tej krwawej,
Złowieszczej tonęło fali.

I oto jakżeż się sprawdza
Ten zachód dziwnie proroczy:
Po krańce niepewnej ziemi
Wojna swój rydwan toczy.

Mordercze rozsiewa kule,
Niszczące wszczyna pożary,
A za nią, któż wie, czy nie pełznie
Głód, ten przyjaciel jej stary.

Któż wie, czy nie zechce dopomóc
W tym światoburczym jej dziele,
Choć rok ten pod stopy żniwiarzy
Tak bujnym się żniwem ściele?

A za nim, któż nie wie, że losy,
Na jedną rzucone kartę,
Przyślą nam w straszną gościnę
Powietrze, z rodzeństwa czwarte?

A kiedy takie potęgi
Obejmą tu panowanie,
Czyż dla Bożego Królestwa
Choć jedno serce zostanie?...

XXIV

Niedługo trwała ma radość,
Zrodzona z radości słońca —
Smutek się rozszedł po ziemi,
Żałoba wędruje bez końca.

Wloką się za nią me kroki,
Wzrok mój niepewny się wlecze,
Choć innym by razem świat ten
Weselić mógł serce człowiecze:

Złocą się jeszcze pola,
Pełnią zieleni lśnią drzewa,
Nad owsem niepokoszonym
Ptak mój kochany śpiewa.

Jeszcze mi błękit niebiosów
Wdzięczy się jak najcudniej
I świerszcze głośno ćwierkają
W żarze sierpniowych południi.

Gdzież powód jakiej żałoby?
Gdzież jest przyczyna smutku?
Ni jedno kwiecie nie zgasło
W naszym przydrożnym ogródku.

I owszem, coraz ich więcej
Jarą płonieje krasą;
W królewskiej iście purpurze
Maki się słońcem pasą.

Malwy pieśń nucą rozkwitu,
Pękami bieli strojne,
Jak panny, wielbiące zwycięzców,
Gdy zakończyli wojnę.

Nasturcje aż zbyt natarczywie —
Tyle ich w roku tym mamy! —
Cały nam ganek obległy,
Pchają się w okien ramy.

Zaprawdę! innego czasu
Z podziwu byś stawał niemy
Na widok tych naszych gieorgiń,
Puszystych jak chryzantemy!

Nagietki, astry i bratki —
Z wszystkimi wzrok się twój spotka —
Błyszczą, jak ciżba weselna,
Pośród naszego opłotka.

Przebujnie się złotogłowiów
Rozsłoneczniła gromada,
Waha się tylko słonecznik,
Choć kwitnie już u sąsiada.

Dlaczego tak się opóźnia
Z wyjawem swojej urody?
Czy skarlał, Bóg wie, z jakich przyczyn?
Czy może jeszcze za młody?

Może o przodku swym słyszał,
Co kiedyś zginął z mej dłoni,
I tak się, tając swe skarby,
Przed ludzką rozpaczą broni?

Może się lęka, by człowiek,
Gdy taka groza nad nami,
Nie zdeptał mu jego korony,
Nie wyrwał go z korzeniami?

Drży, aby go nie oślepił,
Sam on dziś ślepy straszliwie
Na przyszłość, co dzisiaj tak krwawo
Na naszej rodzi się niwie?

Niedługo trwała ma radość,
Zrodzona z radości słońca —
Smutek się rozszedł po ziemi,
Żałoba wędruje bez końca...

XXV

Wierzbo, ty wierzbo stara,
Od tylu znam cię lat!
Cóż z ciebie zostało? Nic! mara
— Sen mara, tak mówią, Bóg wiara —
Co mi przesłania świat.

Zeszłego jeszcze roku —
Gdzież mi z tym bolem iść?! —
Starczyło, widocznie, ci soku,
Że mogłaś w promieni potoku
Kąpać swój siwy liść.

Starania są niemałe —
Chciał ci dopomóc człek:
Na życia nowego pochwałę
Gałęzie ci obciął spróchniałe,
Zwiódł niezawodny lek...

Siekiery gdzie, topory?!...
Tak musi los się pleść!
Zła gawiedź wyłazi z swej nory,
Z ostatniej obłupia cię kory,
Hańbi twą dawną cześć...

Szczęśliwsze twe sąsiadki...
Mimo stoczonych pni,
Choć zda się, że już ich ostatki,
W wiosennych swych pędów przegładkiej
Koronie każda lśni.

Gdzie latorośle twoje?
Gdzie świeżych pędów wian?
Gdzie liści srebrzystych są roje?
Aż sam ja się pytań tych boję,
Na łaskę losu zdan.

O wierzbo, wierzbo miła,
Sąsiadko moich snów!
Sny wszystkie pochłania mogiła,
Nie będziesz o wiośnie już śniła —
Upadniesz w grób swój, rów!...

Przywołać tu rębaczy!
Nie! kopnąć nogą dość!...
Nie może snadź ginąć inaczej,
Co świat już-li próchnem swym raczy,
Co już nie zdoła rość.

A jednak żal mi ciebie —
Każdy by żal ten czuł:
W słonecznej wyrosłaś kolebie,
Dziś los twój tak marnie cię grzebie:
W przydrożny padasz muł...

XXVI

A może z straszliwej zawiei,
Co świat ten naokół niszczy,
Nie same-li gruzy wyrosną,
Nie same-li kupy zgliszczy?

Może w zapasach olbrzymów
Zło się nareszcie przełamie
I Bóg już na jego miejscu
W ludzkim zamieszka chramie?

Może to chwila przebudzeń,
Gdzie, wstydząc się swojej gnuśności
Zbyt długiej, uczuje człowiek,
Iże stalowe ma kości?

Miast kajdanami podzwaniać
I rzewnie ołzawiać się bolem,
Byś może, zbawcze gdzieś wyjście
Okiem wyśledzi sokolem?

Nie! szukać ci go nie będzie,
W chytre rachunki bogaty,
Lecz piersi wypręży i ręce,
Więzienne roztrzaska kraty.

Pod pięścią jego, silniejszą
Od najtwardszego młota.
Rozprzęgną się rygle i zamki,
Żelazne rozprysną wrota.

Oby ta wielka godzina,
Co taką nadzieję nieci,
Stała się dziś już naprawdę
Przepołowieniem stuleci!

Oby wbrew wszelkim pojęciom
Dowód przyniosła nam rada,
Że oto z dwojakiej wieczności
Jedna się wieczność składa.

Że po wieczności, co legła
Przy dzwonie tego zegara,
Nikt w czarnej nie chodzi sukni,
Nikt po niej się płakać nie stara.

Że zasię nowa się wieczność
Z krwawej poczyna rzeki,
By dziękczynnego Te Deum
Słuchać po wieków wieki...

Niech otwierają się rany,
Niech krew się leje do woli,
Byleby wieczność ta wzrosła
Z tak umierzwionej roli.

Na bohaterskim niech stosie
Najlepsze konają serca,
Skoro podpali go wiara,
Że wieczność ta nie uśmierca.

Że chociaż wszystko by stlało,
To jeszcze z jakiegoś ukrycia
Zaczną się sypać iskry
Na bohaterski stos życia.

Napewne, napewne, napewne —
Niechże ta pewność mnie krzepi! —
Czas idzie, gdzie głusi usłyszą
I w którym już przejrzą ślepi.

Czas idzie nieprzewidziany,
A może przewidzian wielce
Przez dusze, co światów bezmiary
W miernej dowidzą kropelce.

XXVII

Coś się zmieniło na świecie —
Godzina dziś strasznie jest smutna!...
Na łące, nad brzegiem rzeki,
Szare się bielą płótna.

Mieliśmy kiedyś zaćmienie —
Coś się dziwnego stało...
Jak to? Twój byt się rozdwoił?
Od ducha odpadło ciało?

To cień twój jest własny? Czy może
Kto inny za tobą kroczy,
Którego widmo jedynie
Widzą pijane twe oczy?

Czy nie słyszałeś, mój druhu,
Co uradzono tam w górze?...
Gdzież komu legiwać tak długo?!
A nuże! wstawać! A nuże!

Wczoraj na wczesny podwieczerz
Czy też o późnej północy
Śmierć się zakradła pod bramy,
Waliła w nie z całej mocy.

Nikt nie był rad jej otwierać,
Zbyt krwawa, zbyt jest okrutna — — —
Na łące, nad brzegiem rzeki,
Szare się bielą płótna.

Słuchajcie!... Słyszycie?!... Do czarta!
Czy wam zalepił kto uszy?
Nie mają grać komu grajkowie,
Żaden z nich smyczkiem nie ruszy.

Przypełzli od krańców piekła —
Czerń przenajśmieszniej dobrana:
Coś wypaliło im ślepie,
Pogruchotało kolana.

Dajcie im kromę chleba,
Chociaż ich słuchać nie chcecie!
Wargi ich zwiędły fiolet —
Umarli chodzą po świecie.

A może to wszystko jest kłamstwo?
Koszmarna jakowaś złuda?
Patrz! słońce las opromienia,
Po ziemi rozprzędza swe cuda.

Gdzieś w polu ktoś ostrzy kosę —
Tak! świat to, nie bajka wierutna!...
Na łące, nad brzegiem rzeki,
Szare się bielą płótna...

O cóż to chciałem się pytać?
Nie wiecie też, przyjaciele,
Jak? Czemu? Gdzie? Kiedy?... Nie! pytań
Mam ci w tych sakwach za wiele!

Jedno mi tylko wyjawcie,
Bo ja dziś tego już nie wiem:
Czy prawda, że Bóg się na zawsze
Swym własnym spalił żarzewiem?...

Zapytam się tego drzewa,
O listki jego potrącę —
Najwymowniejsze języki
Stały się dzisiaj milczące...

O liście! wy liście zielone,
Przyjazne mi dzisiaj, jak zawdy — — —
A jeśli kto głośno zagada,
To nie, by dowiedzieć się prawdy...

Każdy ją tai przed sobą,
Miałbyż ją wyznać innemu?
O liście, zielone liście,
Gdzie? Kiedy? Jak? Czemu? Czemu?...

Rzecz dziwna! Pod mymi stopy
Bujny pęk trawy szeleści,
A przecież o niebios szaleństwie
Ktoś pewne mi przyniósł wieści...

Porwały się, mówił, rzemienie
I tabun bezmiętnych koni — —
O liście! wy liście zielone,
Pijany pijanych goni!...

Pono swój los wyprzedziła
Dola, w pośpiechu rozrzutna — — —
Na łące, nad brzegiem rzeki,
Szare się bielą płótna...

XXVIII

A ci, co zaznawszy znoju,
Legli na wieki w tym boju,
Niech spoczywają w spokoju.

Pokładłeś ich, Panie Boże,
I żaden już powstać nie może
Na tym skrwawionym ugorze.

Skosiłeś ich ostrą kosą
I już swych głów nie podniosą,
Krwawą obmytych rosą.

W żołnierskiej, szarej odzieży,
We krwi skąpanej świeżej
Hufiec przy hufcu leży.

Nim osunęły się plecy,
Któż w świętej trosce kobiecej
Gromnicznej nie skąpił im świecy?

Któż im przymykał powieki,
By ślepo szli w odmęt daleki
Wszystko chłonącej rzeki?

Aby ich uczcić i siebie,
Któż myślał o godnym pogrzebie,
Jak każą na ziemi i niebie?

Bez ojca usnęli i matki
I leżą pobladłe by płatki,
Na tej pościeli tak rzadkiej.

Na tej pościeli tak krwawej
Z śmiertelnej legli obławy,
Czekają odejścia nawy.

O nawo ty przecierpliwa!
Twych żagli całunne przędziwa
Wichr ostateczny podrywa.

Odpłyń! nie czekaj tak zdradnie,
Że ci ich więcej wypadnie
Zgarnąć i zmieścić na dnie.

Psy-wichry urwały się z smyczy —
Odpływaj! masz dosyć zdobyczy.
Już o nią głąb morza nie ryczy.

Już paszcza ziemi niesyta
O dalszą karm się nie pyta,
Krwią przepełniła jelita!...

Odchodzą w nieznane strony —
Ni siostry, ni lubej żony
W tej chwili niewyprzedzonej.

Ofiar zbrodniczych stuleci
Nie ujrzą już drobne dzieci —
Przestrach im w oczach świeci,

Idzie ich biedne mrowie,
Prowadzą je ręce wdowie
I staruszkowie-dziadowie.

Niejeden chyba miał brata —
Pewnie nim burza pomiata
Na drugim krańcu świata.

A może tuż u rubieży
Przy bracie rodzonym leży,
We krwi ubroczon świeżej.

Może ich rzucą pospołu
Tu do spólnego dołu,
Spólników krwawego mozołu.

Zali braterskim zwyczajem
Spojrzą na siebie wzajem,
Spólnym idący krajem?

Pod spólną kroczący władzą,
Gdzie świat się przyoblókł sadzą,
Czyż sobie ręce podadzą?...

Oczy-ś wyłupił im kulą,
Łokcie bez dłoni się tulą
Pod zakrwawioną koszulą...

Dajże im, groźny Panie,
Wieczne odpoczywanie,
A ziemia niech ze krwi powstanie!...

XXIX

Wesołą wam powiem nowinę,
Weselszej dziś nikt wam nie powie:
Wczorajszej nocy, z północka,
Przybyli do mnie grajkowie.

Wyrwali mnie ze snu — i owszem!
Krzyw im nie jestem za to:
Księżyc przecudnie się łasi,
Ciepłe, głaszczące lato.

Drzwi im otwieram na oścież...
Jakoś są dziwnie pobledli — —
Od światła snadź miesięcznego...
Proszę, ażeby usiedli.

Usłuchać nie chcą mej prośby,
Na miejscu jak wryci stoją —
Jak przyszli grający, tak grają
Pieśń ulubioną moją.

Dzięki wam, dzięki!... Lecz może
Trochę wypocząć raczycie?
Życie nie samym jest trudem,
I wypoczynkiem jest życie...

Rad jestem waszemu przyjściu
I wy też bądźcie mi radzi:
Strudziła was długa wędrówka,
A skądże to Pan Bóg prowadzi?

Z daleka, widać, idziecie — — —
Człek się na wieści łakomi...
Przyglądam się waszym obliczom:
Znajomi czy nie znajomi?

Hej! raty! przeraty! Dyć nie ma
Żadnego wątpienia! wy nasi!
Witajcie, kochani bacowie,
Witajcie mi, drodzy juhasi!

Żegnali my się niedawno —
Ktoś szepnął, że może na wieki!
Żartował, boć znów się witamy,
Nie dzielą nas góry ni rzeki.

A ponoć w cudze wy kraje,
W cudze poszliście miasta?
Cud wam się jawił niejeden —
Gadać! Ciekawość ma wzrasta...

Cóż to? milczycie? Dlaczego?
Czym niewart jest odpowiedzi?
Żyję, tak! żyję, to prawda!
Lecz zbrodzień we mnie nie siedzi.

Słyszałem i inni słyszeli,
Że gdzieś tam na świecie jest wojna,
Może zły duch was tam zagnał?
Obmierzła wam dola spokojna?

Rozumiem: niehyrnie jest gnuśnieć
Przy brzęku zberkadeł jedynie!
Surma i bęben to życie!
Krew w was rycerska płynie.

Huk dział, świst kul to mi granie,
To wieków potężna muzyka!
Do śmiechu z waszymi skrzypkami,
Nie trzeba waszego smyka!

Czekać! Poczekać! Chwileczkę!
Znam ci ja swojską tę nutę —
Słyszałem ją w lepszych czasach,
Dziś czasy lute, przelute!

„Trupami zasłane pola — — —"
Wiem o tym! Wszak stare to dzieje!
Pieśń już ograna! Lecz grajcie!
Niechże me serce się śmieje!

„Pola zasłane trupami,
Bóg zadrwił z śmiertelnych ludzi,
Piekło niebiosom niechętne,
Niebiosa do mordu judzi.

I niebo, straciwszy zmysły,
Same ze sobą w zwadzie,
Przepuścić nie chce nikomu,
Jednego po drugim kładzie.

Mnie poraziło ołowiem,
A tego, widzicie, żelazem,
Juhasowali my razem
I teraz gramy wam razem.

Ten w kole tym naszym trzeci
Dychał ci jeszcze przez chwilę —:
«O was się oprę, druhowie,
Podźwignę się i wysilę.»

Podźwignął się i wysilił,
O martwe się oparł ramię,
Przymrużył powieki i czeka,
Zali nadzieja nie kłamie.

Nie zdążył przekonać się o tym — —
Bóg zbytek nadziei karze:
Po zbiórkę w żniwnej spiekocie
Przyszli żniwiarze-grabarze.

Sprzątnęli, co trzeba sprzątnąć,
I razem z naszym, aż miło,
Stowarzyszyli mu serce,
Choć serce to jeszcze biło.

Ten czwarty — — Grajkowie my twoi,
Z miesięcznej przychodzim dali,
Wszak naszą lubiłeś nutę,
Przez życie ci będziem grali..."

Będą mi grali przez życie
Ci moi drodzy grajkowie!
Słuchajcie tej wieści wesołej,
Weselszej dziś nikt wam nie powie.

XXX

Więdniecie już, moje liście,
Szczególnie żrą was upały:
Wicher rozstrawia jesienny,
Warzy przymrozek biały.

Za wcześnie się na was zaprzysiągł
Tworzyciel żywotoburczy;
Zda się, że ziemia się ściąga,
Że krąg się słoneczny kurczy.

Ścieżyną kroczę rozmokłą,
Losy mnie świata prowadzą
Ku mglistej, obłędnej dali —
Pod waszą przystaję władzą.

Otwarte mam oczy, więc widzę,
Jak tyle was cicho opada
Na błotne przydroża, gdzie waszych
Tysiączna już leży gromada.

Otwarte mam uszy, więc słyszę,
Jak nowy orkan się żenie
Gdzieś stamtąd i drzewom mym drogim
Nowe obwieszcza zniszczenie.

Nie ubezwładnił mi kroków
Przypadek błogosławiony,
Więc idę przed się i idę,
Śmiertelne mijając plony.

Chciałbym, zaiste, być ślepym —
Szczęśliwi bywają ślepce! —
Aby nie widzieć zagłady,
Co świat, wczoraj żywy, depce.

Chciałbym, zaiste, być głuchym —
Szczęśliwi bywają głusi! —
Aby nie słyszeć rzężenia,
Co gdzieś tam krtanie dusi.

Chciałbym, zaiste, być chromym —
Szczęśliwi bywają chromi,
Nie pójdą wyścigiem za śmiercią,
Jej pospiech ich nie złakomi.

Jak, kiedy to wszystko się skończy,
Aże pomyśleć się boję —
Więdniecie coraz to bardziej,
Kochane olchy moje!

Jesiony, co swoją wiosnę
Przelewałyście mi w duszę,
Jakże mi straszno, że w taką
Godzinę żegnać was muszę!

Innego czasu — mój Boże!
Każde żegnanie nas boli —
Pocieszałbym się jak człowiek,
Druh smętku i melancholii!

Lecz dzisiaj — o buki czerwone,
Regli podskalnych stróże!
Zda mi się, że w waszej czerwieni
Krwawe-li widzę kałuże.

Zda mi się, o kraśne jawory,
Że wasze płomienne plamy
To potop, niszczący wszystko,
Co tylko w sercu mamy...

Więdniecie już, moje liście —
Szczególne żrą was upały:
Wicher rozstrawia jesienny,
Warzy przymrozek biały.

XXXI

Pożółkły znużone pola,
Niebiosa coraz to bledsze,
Żądnymi piersiami chłonę
Ciche, jesienne powietrze.

Rozglądam się naokoło —
Niebujnie tu, niebogato,
A przecież mi nie żal dzisiaj,
Że się prześniło lato.

W tej pustce, w tym wyczerpaniu,
Które mi w oczach rośnie,
To samo odczuwam życie,
Jak w pełnej, kwitnącej wiośnie.

Przystaję na długiej miedzy,
Ku rżyskom nakłaniam lica,
Z powiędłych kępek ta sama
Wyziera mi tajemnica...

Mgły jakieś nieuchwytne
Las osnuwają bury,
Nieśmiało migocą w słońcu
Śniegiem pokryte góry.

Urocza, smętna martwota,
Zda się, iż śmierć jest gdzieś bliska,
Na pochyłościach wierchu
Jesienne dymią ogniska.

Nieletni, wątły pastuszek
Okiem mnie wita lękliwie —
Jeszcze się bydło pasie
Na tej wychudłej niwie.

Jeszcze jest jakaś czerstwość
Na niwie tej wypalonej —
Z wrzaskiem niesamowitym
W krąg się zwołują wrony.

Gdzieś lecą, gdzieś giną w dali,
Wzięły ze sobą zmorę —
Garść pełną zoranej gleby
Do chciwej ręki biorę.

Upajam się jej zapachem,
I dzisiaj tak samo on świeży —
O rodzicielko żywota,
O święta, płodna Macierzy!

O skarbie ty mój najdroższy,
Rozstać się z tobą nie mogę —
Zielone jeszcze sitowie
Z uśmiechem zaszło mi drogę.

Na gruzem zasłanej miedzy
Jałowiec krzewi się młody,
Dziś barwy mu odmieniły
Fijoletowe jagody.

Skąpo się fala toczy
Potokiem, co wysechł w lecie,
Spomiędzy chwastów nad brzegiem
Samotne żółcieje kwiecie.

Ostatnie to już — zapewne!
O innych nie usłyszycie,
Lecz ja w tej pustce dzisiejszej
To samo odczuwam życie.

W tym wyczerpaniu, co dzisiaj
Świat tak cudownie mroczy,
Ta sama wszak tajemnica
Dziwem otwiera mi oczy.

Powiędły, przymarły pola,
Niebiosa coraz to bledsze,
Żądnymi piersiami chłonę
Ciche, jesienne powietrze.

XXXII

Gdzie znaleźć spokój, gdzie duszę
Ukoić nieukojoną?
Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownym płoną!

U wierzb podnóża, przy drodze,
Powiędłych liści gromada —
Z koron, drzemiących w słońcu,
Jeden za drugim pada.

Z tak słodką opada ciszą,
Tak się odrywać umie
Od życia, że śmierci nie czujesz
W niedosłyszalnym szumie.

Ostatniej czekają chwili
Jawory, w łysk brązów strojne —
Czyżbyś pomyślał, iż pewność
Walną przegrywa wojnę?

Czyżbyś pomyślał, mój bracie,
Że nieruchome te brzozy,
W płomienny odziane jedwab,
Zimowej już pełne grozy?

Coś niezwykłego się zbliża —
Widnąż dla oczu stroną?...
Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownym płoną...

Idziemy daleko, bracie,
Może cię droga ta męczy?
Oprzyj się razem ze mną
Na tej sczerniałej poręczy.

Podobny do ciebie człowiek
Zbudował ją kiedyś, przed laty,
Mostu ci ona strzeże,
Most, widzisz, niebogaty.

Za lada krokiem się chwieje,
Lecz przejść go się odważymy,
Inaczej nie puści nas przepaść,
Mgławymi ziejąca dymy.

Mamyż się wracać ze strachu?
I po co? Wygrana karta!
Lato zostało za nami,
Przed nami jesień otwarta.

Wdzięczy się ku nam, uśmiecha
Twarzą — śmiertelnież czerwoną?
Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownym płoną.

Wąwozem potok się toczy,
W odwieczne ściany ujęty,
Białawe błękity nieba
Bielą mu białe męty.

Okiełzał swój dawny rozpęd,
Dla brzegów kamiennych wraży,
Zaledwie szepce ze sobą,
O swoim ujściu marzy.

Olchy obsiadły krawędzie
Zamierającej rzeki,
Po fiolecie ich kory
Blask ślizga się daleki.

Gałąź zwiędłego powoju
Po głazach zwietrzałych pnie się,
Z trudem utrzymać się zdoła —
O cichy, bezwładny kresie!

Opadnie i zgnije... Czyż lek to
Na duszę nieukojoną?
Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownym płoną.

XXXIII

Chodzący w ten czas jesienny
Po ściernisk zżółkłej pustyni,
Miewam niekiedy wrażenie,
Iż pustka w mej duszy się czyni.

Może to złuda upiorna,
Co innych już nie zadziwia,
Zrodzona z widm drzew nadrzecznych,
Z ich powiędłego liściwia?

Może to koszmar tylko,
Zesłan na człeka, co wszytek
Pełen był pychy niewczesnej,
Że mnogi już zgarnął dobytek?

Nie będę się pytał o to —
Wiew suche trawy potrąca;
Snadź wysuszyła mi duszę
Ta jesień, ciszę niosąca.

Czy padnę, jak gałąź odcięta,
Czy w bujny się ogród rozplenię —
Żem duszę swą wyjałowił,
To miewam niekiedy wrażenie.

I lękam się o jej losy,
O przyszłość niespodziewaną,
Gdy ręce opadną zgrzybiałe,
Gdy stopy w niemocy staną.

Jakiego tchu też zachwyci
I jakim głosem zawoła,
Skoro jej oczy rozwidni
Płomienny miecz Archanioła?

Czy wstydem się spali, czy duma
Szczęsne jej wnętrze rozeprze,
Skoro Majestat Sądu
Oddzielać będzie, co lepsze?

Kiedy Potęgi Majestat
Złoży swą dłoń na jej ramię,
Wytrzyma-li próbę tej wagi
Czy też się pod nią załamie?

Gdy trwania wiecznego nadzieja
Do głębi jej dotrze, do dna,
Nie będzie-li szepnąć zmuszona:
„Ja tego nie jestem godna"?

Takie mnie dręczą pytania,
Te nieodparte męczarnie,
Ilekroć mnie ciszy potrzeba
Jesienną wonią ogarnie.

I oto, widząc w tym polu,
Jak brat mój zagon swój orze,
Chciałbym, ażeby w mą duszę
Pługi się wryły boże.

Rząd radeł, jak świat ogromnych,
A twardych jak brak zmiłowania
Na niebie w godzinę pomsty,
Niech wnętrze mej gleby odsłania.

Niech skibę odwala za skibą,
Bruzdy swym żłobi żelazem,
Głębokie jak żądza, by nimi
Bóg chodził z człowiekiem razem.

Nie będę miał wówczas wrażenia,
Że jesień ta, ciszę niosąca,
Na nic się zdobyć nie umie,
Tylko liść zwiędły roztrąca.

Że stwarza-li widma nadrzeczne
Drzew, wczoraj pełnych żywota,
I że-li w szychy się stroi,
Choć tak na pozór złota.

Nie będę miał wówczas wrażenia,
Czy prawdą jest ono, czy złudą,
Żem duszę swą wyjałowił,
Jak glebę ponadmiar chudą.

XXXIV

Któż by się tego spodziewał,
Że jeszcze dziś, w listopadzie,
Rój pszczół na krzewie kwitnącym
Z chciwym pobrzękiem się kładzie.

Zwiądł nasz ogródek, zostało
To jedno jedyne kwiecie —
Szron go już, widać, poranny
Z tej pustej grzędy nie zmiecie.

Śnieżną mieliśmy kurniawę,
Ostre już były przymrozki,
Lecz on się im oparł, ten prosty,
Ten kwiat tak przedziwnie boski.

Nie znane mi jego miano —
Do dziś nie postało mi w głowie,
By kogokolwiek się spytać,
Jak się też dziwo to zowie.

Takie to niepozorne,
Szatki ma takie przeskromne,
Że mniej przepychu i blasku
W krainie słońca nie pomnę.

Przecieżbym gotów zawołać,
Wlepione mając weń oczy,
Że krzak to jest gorejący
Synajski objaw proroczy.

W jego błękitnych płomykach,
W gwiazdek koronie wesołej,
Wielka się kryje Łaskawość,
Co skrzętnie przyzywa pszczoły.

Głos ci to miodem zaprawny,
Wezwanie, pełne słodyczy,
Choć żaden z tych drobnych pucharów
Zbytkownym złotem nie krzyczy.

Nie widzę ja ulów w tej wiosce,
Są gdzieś daleko, lecz uszy
Ma owad wrażliwe, z daleka
Rojami na głos ten się ruszy.

Przyleci pod krzak gorejący,
Co jeszcze nie przekwitł w ogrodzie
Pod ścianą mej chaty, i z brzękiem
Na jego używa miodzie.

Wpija się w jego kielichy —
Żadna go moc nie odgoni —
Tak się lubuje ród pszczeli
W tej lepkiej, żywotnej woni.

Spomiędzy chmur, zapowiedzi
Snadź bliskiej, śniegowej burzy,
Czasami słońce zabłyśnie,
Radością mu swoją zawtórzy.

I we mnie są jakieś błyski —
Widocznie ma dusza jest rada,
Że widzi i kwiat, i te pszczoły
W tych mrocznych dniach listopada.

XXXV

O służebnico w mym domu —
Służebni jesteśmy oboje,
Wartujem u bram wieczności,
Na losy czekając swoje.

Niedawnośmy się poznali,
Niedawno jesteśmy razem,
A zda się, żeśmy od wieków
Bożym złączeni rozkazem.

A zda się, że nasze spotkanie,
Dziś mego życia treść cała,
Odbyło się w czasach, gdy pamięć
Oczu ni uszu nie miała.

Gdy żądza wędrówki w przyszłość
Krok jęła stawiać ubogi,
Świadoma bezwładu swych skrzydeł,
A nieświadoma drogi.

I oto od onej pory,
Spowitej w pierwocin żłobie,
Byliśmy ze sobą razem,
Nie wiedząc wcale o sobie.

W nieznaną wybrawszy się podróż
Po grudzie czy trawie miękkiej,
Rękaśmy w rękę szli światem,
Nie znając wcale tej ręki.

A na przystankach wytchnienia,
Przepastnym spiesząc okrajem,
W źreniceśmy sobie patrzyli,
Swych źrenic nie widząc wzajem.

Ogień się wpijał nam w ogień,
Fala gubiła się w fali,
Że nasze to były usta,
Czyśmy to przeczuwali?

Cnotami szliśmy i grzechem,
Dumni i przygnębieni,
Nie myśląc o tym, że właśnie
Cienie to naszych cieni.

Aż dotarliśmy do kresu —
Jak trudno do niego się dostać! —
Gdzie życie w swój kształt się ubiera,
W swą rzeczywistą postać.

Niewielki jest dom tego życia
I niewysokie są ściany,
Śród których przyciskam do serca
Skroń służebnicy kochanej.

Ale za nimi, za progiem,
Za okien tych wąskich parą
Świat się rozciąga bezmierny,
Tęsknotą wypełnion starą.

Pradawną, odwieczną tęsknotą,
Więzioną w głębinach ducha,
Nie każdy ją w sobie dostrzega,
Nie każdy głosu jej słucha.

Lecz my, z łatwością czy trudem
Pełniąc swój szarwark powszedni,
Ku oknom zwracamy źrenice,
Niezwykle bogaci, choć biedni.

Pod wieczór, gdy życie się kąpie
W uspokojeniu przebłogiem,
Słuchamy, czy głos się odzywa
Za domu naszego progiem.

A jeśli orkan się zerwie,
Oddechy niosący boże,
Rozparlibyśmy te ściany,
By w wiecznym go chłonąć przestworze.

Od wieków śmierć k'nam się skrada,
Z dniem każdym pospiech jej rośnie,
Radośnieśmy życie przyjęli
I śmierć przyjmiemy radośnie.

O służebnico w mym domu —
Służebni jesteśmy oboje,
Wartujem u bram wieczności,
Na losy czekając swoje...

XXXVI

Chciałbym otwierać dziś serce,
Jak wiosennego rana
Otwiera bramy kościoła
Ręka zakrystiana.

Chciałbym, ażeby promienie
Rozbudzonego świata
Wpływały w tę moją świątnicę,
Jak rzeka, co w morze ulata.

Jaśniej od słońc najjaśniejszych,
Od rzek najwspanialszych rozrzutniej
Niechże mi płyną do głębi
Razem z otwarciem wrótni.

Niechże wypełnią mój kościół
Po wszystkie ściany, do pował,
Gdziem Wielki Ołtarz dla Niego
Z swoich uwielbień zbudował.

Może naonczas, gdy wnętrze
Taka mi jasność zaleje,
Jasną zobaczę źrenicą,
Że się spełniają nadzieje.

Że On, który sam jest jasnością
I lubi wiosenną radość,
Do mej wstępuje katedry,
Co tak Mu czyni zadość.

Co tak Go wita weselnie,
Tak Mu się cała odsłania
Bez mroków, drzemiących po kątach,
Bez posępnego dumania.

Chciałbym otwierać dziś serce,
Jak wiosennego rana
Otwiera bramy kościoła
Ręka zakrystiana.

Ale dziś widzę, że zmierzch jest
I że w tę moją świątynię
Blask świata rozbudzonego
Rozrzutną rzeką nie wpłynie.

I nie urągam Ci za to —
Te jedne-li wznoszę modły,
Ażeby kroki Cię Twoje
Ku moim progom zawiodły.

Wstępuj w nie — wszystko mi jedno,
Czy serce rozjaśnisz, czy może
Jeszcze je bardziej zaciemnisz,
Rad je przed Tobą otworzę.

Wszystko mi jedno, czy wstąpisz
Do głębi chciwego wnętrza
Jak grzmot i grom, i łyskanie,
Czy jako cisza najświętsza.

Czy jako żądza potężna,
Czy wyrzeczenie, to jedno,
Bylebyś tylko rozpierał
Wnętrza mojego sedno.

Bylebyś tylko je uznał...
Tego ja przecież się boję,
Czy będzie Cię mogło ogarnąć
To mroczne dziś wnętrze moje?

Chciałbym otwierać dziś serce,
Jak wiosennego rana
Otwiera bramy kościoła
Ręka zakrystiana.

XXXVII

Padłeś z daleka od swoich,
Za cudzą walczący sprawę —
Wroga zagnała cię przemoc,
Złośliwe losy krwawe.

Ty dziecko polskiego ludu,
Krainy w nieszczęścia żyznej,
Pamiętam serce twe młode,
Wezbrane dolą ojczyzny.

Pamiętam ongi twe listy,
Te proste, niewprawne słowa,
Którymi ze zgrozą przemawia
Ta nasza skarga wiekowa.

Wróg was zamyka w koszarach,
Serce mundurem wam ściska,
Aby w nim stłumić tęsknotę
Do rodzinnego ogniska.

Język wydziera wam z gardła,
Bez miłosierdzia oniemia,
Byście się ozwać nie mogli,
Gdy własna zawoła ziemia.

Majaki wam stawia przed oczy,
Obrazy kłamliwej siły,
Abyście praw się zaparli
Do dni, co by chwałą świeciły.

Byście, wróciwszy do domu,
Potęgą wroga olśnieni,
Własnych zaparli się przodków,
O pomstę krzyczących cieni.

Byście te przyszłe szeregi,
Co z waszej krwi powstać mają,
Zaprzańczym łączyli węzłem
Z nieprzyjacielską zgrają.

Byście bez żalu je wiedli,
Butę mający na przedzie,
Do walki o przyszłość nie swoją,
Jak on was dzisiaj wiedzie...

Zali już nie ma na świecie
Karzącej Sprawiedliwości,
Że tak haniebnie kłaść musim
Do grobu strudzone kości?

Nie! Nie! Ja przecież mam w głębi
Resztę — czy złudnej otuchy? —
Że miecz, jeśli fałszem hartowan,
Łomliwy się staje, kruchy.

Padłeś z daleka od swoich,
Ty synu polskiej Macierzy,
Dziecko tej krwi, co daremnie
Rozlewa się coraz szerzej.

Moc poświęciwszy młodzieńczą,
W zamkowymś spoczął ogrodzie,
Nad straszną podobno-ć rzeką
O mętnej, czerwonej wodzie.

Jeśli nie zmiotły szrapnele
Już ostatniego w nim drzewa,
Niechże ci ogród ten głucho
O twej zagrodzie śpiewa.

O twoim domu ubogim
Niechże ci szumi ta rzeka,
Jeśli w niej krew nie stężała,
Co dawno na kres swój czeka.

XXXVIII

Z daleka dochodzi ku mnie
Huk armat — słucham go słuchem,
Na krwawą wieść wytężonym,
W zwątpieniu tonący głuchem.

Może to grzmot jest, nic więcej —
Powszednie juści zjawisko
W upalnym lecie i dzięki,
Że tak daleko, nie blisko.

Czerwoną nie błyśnie wstęgą
Nad szczytem naszego domu,
Cicha nie spłonie zagroda,
Jesiony nie padną od gromu.

Niewiasty biegać nie będą
Z rozpuszczonymi włosy,
Łkające i niewiedzące,
Jak groźne powstrzymać losy.

I ja, ujrzawszy, że nic już
Ofiary ocalić nie umie,
Nad kupą zgorzelisk i gruzów
W martwej nie stanę zadumie.

O szczęście! O wymarzona,
Spokój budząca radości!
Na oścież drzwi są otwarte
Dla ciebie, najdroższej z gości.

Zamykać wrót swego wnętrza
Nie ma już serce ochoty,
Tak je upoił, roztańczył
Nadziei puchar złoty.

Huk się powtarza... Do ziemi
Niepewne przykładam lice:
Świadoma jest rzeczy nieznanych,
Wyjaśni mi tajemnicę.

Powiedzże, Matko, co znaczy
Głuchych łoskotów nawała?
Lecz ona — czy z przerażenia?
Milczy, trzęsąca się cała.

Zali naprawdę, jak mówią,
Szatan wyruszył z podbojem
Przeciwko niebu i echa
W szaleństwie rozbudza swojem?

Nie! Nie! to tętent po moście,
Wzniesionym nad oną rzeką,
Co fale toczy ku morzu,
W toń, zanikowi daleką.

Przypomniał sobie przyjaciel
Dawnego przyjaciela:
Uszedł mu kiedyś z pamięci,
Dziś mu nie skąpi wesela.

Z złocistej dziś wywiódł stajni
Czwórkę najlepszych koni
I, zniecierpliwion czekaniem,
Po moście tętniący goni.

Witajże, druhu mój luby!
Nic, że przyjeżdżasz po czasie!
Na oścież drzwi są otwarte,
Serce na sercu zna się.

Zamykać wrót swego wnętrza
Nie ma już żadnej ochoty,
Tak je upoił, roztańczył
Nadziei puchar złoty...

Dawno od naszych progów
Wszelaki pył odmieciono,
A druha nie ma... Hej, Ziemio,
Czemu tak drży twoje łono?

Azali myślisz naprawdę,
Że gdzieś, w tamtej stronie, za nami,
Giną rodzone twe dzieci,
Jak wrogi, walczące z wrogami?

Że huk ten, nie grzmot i nie tętent
Spod kół potwornych wyrasta
Jakiejś machiny potwornej,
Co wsie druzgoce i miasta?

Że kędy przeszły te koła,
Zostają tylko pustkowia,
Olśnione łuną pożarów,
Jęk starców i rozpacz wdowią?

Że razem z przeszłością, co pada,
We własnej krwi zatopiona,
I wielka też przyszłość tonie,
Darmo podnosząc ramiona?

Nie! Ziemio, Matko najmilsza,
Źle uszy moje słyszały!
To echa górskie! Tam, w górach,
Ktoś twarde rozsadza skały.

Jest granitowy materiał
Na drogi, domy, kościoły!
Jakiż to świat widzą oczy,
Jakżem ja dzisiaj wesoły!

Zamykać wrót swego wnętrza
Nie ma już serce ochoty,
Tak je upoił, roztańczył
Nadziei puchar złoty...

XXXIX

Pali się świat naokoło,
Niechże goreje, niech płonie,
Byleby tylko nam serce
Nie spopieliło się w łonie.

Byleby tylko te dymy,
Co z ziemi się kłębią umarłej,
Mózgu nam nie przyćmiły
I oczu nam nie wyżarły.

Byle ten huk i ten łomot,
Wątek straszliwej powieści,
Nie odjął nam władzy słyszenia,
Co za tą grozą się mieści.

Byleby tylko ratunek,
Z którym do ognia nas pędzą,
W kaleki nas nie przemienił,
Napiętnowane nędzą.

Albowiem walą się mury,
Zwęglone pękają wiązadła,
Niejedna już na nas cegła,
Niejedna belka upadła.

I w tym zamęcie, w tych trzaskach,
W skrach, co nad nami rozbłysły,
Wydaje się nieraz, gubimy
Najpierwotniejsze zmysły.

Dar przerodzony, przed wieki
Zawyrokowan w niebie,
Że człowiek, szukając skarbu,
Ma przedsię szukać siebie.

Że świat posiadłszy dla duszy,
Umiłowane przestrzenie,
Gdzie łączą się dusz miliony,
Winien utrzymać to mienie.

A my, tak nieraz się zdaje,
Znamy dziś jedno-li prawo:
Niszcząca gotowość wyrzeczeń
W sercu rysuje się krwawo.

Świadkowie, jak tłumy obłędne
Żar rozdmuchują lub gaszą,
Prawie tracimy świadomość,
Co w tym chudobą jest naszą.

Wtłoczeni w ciżbę krzyczącą,
Ledwie szepcemy nieśmiało,
Błagając, by chociaż cokolwiek
Z dobytku nam ocalało:

Choćby najwęższy opłotek,
Izdebka chociażby jedna,
Byleby miała gdzie spocząć
Zmęczona głowa biedna.

Byleby miała gdzie wyznać
Przy ostatecznej spowiedzi,
Jaki w niej bezład i jaka
Rozpacz w jej wnętrzu siedzi.

Snadź mózg się nam mąci w głowie,
Czarne, kłębiące się dymy,
A któż to ma patrzeć z radością
Na nowe gmachy-olbrzymy?

Snadź mózg się nam mąci w głowie,
A któż ma obmyślać plany,
Rozmierzać i liczyć, by dom nasz
Trwale był zbudowany?

Widać, że słuch nasz przygasa,
A któż to ma prawo słuchania
Tryumfalnego hejnału,
Co już z oddali podzwania?

Snadź się nam serce spopiela —
Oby w sto słońc rozbłysnęło,
Bo któż ma ukochać po wieki
Swe własne, wieczyste dzieło?

Pali się świat... Niechże ginie
W tej strasznych skier zawierusze,
Byleby wyszły z niej cało
Nasze stęsknione dusze...

XL

Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupczykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją najgłośniej wypowie.

Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, iż żyje dla Niej.

Widziałem, jak do Jej kolan —
Wstręt dotąd serce me czuje —
Z pokłonem się cisną i radą
Najpospolitsi szuje.

Widziałem rozliczne tłumy
Z pustą, leniwą duszą,
Jak dźwiękiem orkiestry świątecznej
Resztki sumienia głuszą.

Sztandary i proporczyki,
Przemowy i processyje,
Oto jest treść Majestatu,
Który w niewielu żyje.

Więc się nie dziwcie — ktoś może
Choć milczkiem słuszność mi przyzna —
Że na mych wargach tak rzadko
Jawi się wyraz: Ojczyzna.

Lecz brat mój najbliższy i siostra,
W tak czarnych żałobach ninie,
Ci wiedzą, że chowam tę świętość
W najgłębszej serca głębinie.

Ta siostra najbliższa i brat ten,
Wybrani spomiędzy rzeszy,
Ci znają drogi, którymi
Moja Wybrana spieszy.

Krwawnikiem zarosłe ich brzegi,
Łopianem i podbiałami:
Spieszę z Nią razem, topole
Ślą swe westchnienia za nami.

Przystajem na cichych mogiłach,
Słuchamy, azali z ich wnętrza
Jakiś się głos nie odezwie,
Jakaś nadzieja najświętsza.

Zboża się złocą dojrzałe,
A tam już widzimy żniwiarzy,
Ta dłoń swą na czoło mi kładzie
I razem o sprzętach marzy.

A potem, podniósłszy głowę,
Do dalszej wstając podróży,
Woła: „miej radość w duszy,
Bo tylko radość nie nuży.

Podporą ci będzie i brzaskiem
Ta ziemia tak bujna, tak żyzna,
Nią ci ja jestem, na zawsze
Twa ukochana Ojczyzna."

Jakiś złośliwy złoczyńca,
Pszeniczne podpala stogi,
U bram się wije niebieskich
W rozpaczy człowiek ubogi.

Jakaś mordercza zaraza
Z głodem zawiera przymierze,
Na przepełnionych cmentarzach
Krzyże się wznoszą świeże.

Jakoweś głuche tętenty
Wskroś przeszywają powietrze,
Kłębią się gęste chmurzyska,
Czyjaż to ręka je zetrze?

Jakaś olbrzymia rzeka
Wezbrała krwią i rozlewa
W krąg purpurowe swe nurty,
Zabiera domy i drzewa.

Jakoweś idą pomruki —
Drży niepoznana puszcza,
Dęby się groźnie ozwały,
Cóż to za moc je poduszcza?

A nad tą dolą — niedolą
Poranna nieci się zorza,
Na pieśń mą, Ojczyzny pełną,
Spływa promienność jej boża.

W mej pieśni, bogatej czy biednej —
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna —
Żyje, tak rzadka na wargach,
Moja najdroższa Ojczyzna.

XLI

Zali naprawdę już wiosna
Jawi się stopy lekkiemi
Na ziemi twardej od mrozu,
Na śniegiem pokrytej ziemi?

Zali naprawdę nie myli
Wlepione w przestrzeń oko?
Szeroko-li świat ten ogarnia,
Wnika-li w niego głęboko?

Zali naprawdę mu wierzyć,
Iż coś nie na wyżach przemienia
I w głębiach coś się już spełnia,
Z czym się nie spotkasz bez drżenia?

Zali naprawdę twe serce
Już się radować może,
Albowiem zima przechodzi,
Żary tłumiąca boże?

Według zwyczajnej rachuby,
Co ludzi w swych więzach miewa,
Daleko jeszcze do chwili,
Gdy zaczną pękać drzewa.

Do tego czasu daleko,
Kiedy na dach nasz słomiany,
Do gniazd, porzuconych tak dawno,
Stęsknione wrócą bociany.

Kiedy spod śniegu powłoki
Oślepi cię żywy blask żyta,
Że dusza, cudy goniąca,
Przystaje nagle jak wryta.

Kiedy nad polem i łąką,
Co w zorzy się kąpią złotej,
Skowrończe usłyszysz pieśni,
Źródło i cel twej tęsknoty.

Daleka jeszcze godzina,
Gdy pierwsza zakwitnie róża,
Lecz świty wcześniej już wstają,
Wcześniejszy dzień się przedłuża.

Słońce już większym się toczy
Łukiem i, grzejąc z południa,
Zimie, zbyt dufnej w swe siły,
Bezwzględną władzę utrudnia.

A wczoraj, kiedy mnie kroki
Do parku szarego zawiodły,
Spostrzegłem, jak świeży kęs trawy
Spod szarej wybijał się jodły.

Zaś kiedym wracał do domu,
Czułem, iż zorza, co właśnie
Gasła w mych oczach, naprawdę
Nie bez nadziei gaśnie.

Wszystko to znaki niemylne,
Choć jeszcze tak słabo rosną,
Że Cud się już ku nam przybliża,
Nazywający się Wiosną.

XLII

Żegnaj mi, księgo ty moja!
Płone-m zgromadził brogi:
Uboga jesteś w swej treści,
Tworzył cię człowiek ubogi.

Niewielki jest obszar życia,
Po którym, na kiju oparty,
Wałęsam się niedołężnie,
Na myśli mając twe karty.

Pola, że dzień-li wystarczy,
By zmierzyć je stopy ludzkimi,
Granice widzialne, lecz słońce
Zachodzi i wschodzi nad nimi.

Lasy, do których zbaczałem
Po szumy na zwrotki te skromne,
Nie ciągną się gdzieś na mile,
Nieomal świerk każdy pomnę.

Nie puszcza to niedostępna,
Nie żaden matecznik głęboki,
Ma przecież swe tajemnice,
Co wabią najsłabsze kroki.

Nie dajesz pewności, ma księgo,
Azali odgadnie je człowiek,
Lecz każ mu otwarte mieć uszy
I nie zamykać powiek.

O jakiż dom to malutki!
Jakaż to ciasna zagroda!
Zdawałoby się, że oczu
Odwracać na nie szkoda.

Trzy albo cztery jesiony —
Któż je tam liczyć będzie? —
I kwiaty najpospolitsze
Na kilkułokciowej grzędzie.

A przecież w tych lichych opłotkach,
W tych ścianach, ciosanych z drzewa,
Wypełnia się życie, co własny
Przypływ i odpływ miewa.

Czy głośne jest ono, czy ciche,
Czy meta ócz jego daleka:
Miało ci swe narodziny
I na swój koniec czeka.

I to wystarczy. Zaś reszta —
Czy siła nim rządzi, czy może
Słabość, niech o tym wyroki
Zawyrokują boże...

Na rzece mej, w wieczność płynącej,
Wspaniałe nie stoją mosty,
Kładka-li z chwiejną poręczą,
Stawiał ją człowiek prosty.

Nie przejdą ci po niej tłumy —
Najmniejszy wiew ją porusza,
Lecz może na tamtą stronę
Spojrzy z niej jedna choć dusza.

Czy zoczy świat nowy, ja nie wiem:
Mgieł ja tych nie rozwieję,
Co drzemią na drugim brzegu,
Choć tę żywiłem nadzieję.

I nic śmiesznego w tym nie ma:
Nadziei mej czułą macierzą
Nie pycha była, lecz miłość —
Ci, co kochali, uwierzą...

Zrodzona pod znakiem słońca,
Miałaś być wieścią radosną,
A z ostatnimi kartami
Troski krwawiące rosną.

Kto temu winien?... Losy,
Co przed się na oślep pędzą
I uśmiechniętą błoń życia,
Jak kurzem, skrywają nędzą.

Lecz kto się patrzeć nie nuży,
Pod pyłu powłoką suchą
Zieloność zobaczy niezwiędłą,
Z słoneczną się spotka otuchą...

Żegnaj mi, księgo!... Nic losów
Utrzymać nie zdoła na wodzy!...
Rzuca cię człowiek ubogi,
Przyjmą cię ludzie ubodzy.

SPIS UTWORÓW

Rozmiłowała się ma dusza 7
I. Witajcie, kochane góry 9
II. Tą samą chodzę drogą 11
III. Nie ma tu nic szczególnego 13
IV. O dolce farniente 16
V. W niejednej ci ja biesiedzie 19
VI. O starowierne melodie! 23
VII. Powiedz mi, powiedz 26
VIII. Swobodna jest moja dusza 29
IX. Gdy idę tak, nie wiem, dlaczego 31
X. O wielcy i syci tej ziemi! 34
XI. Przestałem się wadzić z Bogiem 37
XII. Umiłowanie ty moje! 40
XIII. Okrutna dziś spadła ulewa 43
XIV. Na razie, mówiący prawdę 45
XV. O Wierchu, ty Wierchu Lodowy! 48
XVI. Przynoszę ci kilka pieśni 51
XVII. Przynoszę ci kilka pieśni 53
XVIII. Przynoszę ci kilka pieśni 56
XIX. Przynoszę ci kilka pieśni 58
XX. Przynoszę ci kilka pieśni 61
XXI. Cokolwiek o tym powiecie 64
XXII. Ludzie, kochani ludzie 68
XXIII. Takiego, jak kiedyś, zachodu 71

XXIV. Niedługo trwała mą radość 74
XXV. Wierzbo, ty wierzbo stara 77
XXVI. A może z straszliwej zawiei 79
XXVII. Coś się zmieniło na świecie 82
XXVIII. A ci, co zaznawszy znoju 85
XXIX. Wesołą wam powiem nowinę 88
XXX. Więdniecie już, moje liście 92
XXXI. Pożółkły znużone pola 95
XXXII. Gdzie znaleźć spokój, gdzie duszę . . . 98
XXXIII. Chodzący w ten czas jesienny 101
XXXIV. Któż by się tego spodziewał 104
XXXV. O służebnico w mym domu 107
XXXVI. Chciałbym otwierać dziś serce 110
XXXVII. Padłeś z daleka od swoich 113
XXXVIII. Z daleka dochodzi ku mnie 116
XXXIX. Pali się świat naokoło 120
XL. Rzadko na moich wargach 123
XLI. Zali naprawdę już wiosna 127
XLII. Żegnaj mi, księgo ty moja 130

BIBLIOTEKA POETÓW

Ukazały się następujące tomiki tej serii:

ANNA ACHMATOWA — Poezje
RAFAEL ALBERTI — Wiersze wybrane
GUILLAUME APOLLINAIRE — Poezje wybrane
LOUIS ARAGON — Elza
ADAM ASNYK — Wiersze wybrane
EDWARD BAGRICKI — Poezje
CHARLES BAUDELAIRE — Kwiaty zła
CHARLES BAUDELAIRE — Paryski spleen
WILLIAM BLAKE — Poezje wybrane
ALEKSANDER BŁOK — Poezje wybrane
TADEUSZ BOROWSKI — Poezje
WALERY BRIUSOW — Poezje wybrane
KAZIMIERZ BRODZIŃSKI — Wiersze wybrane
WŁADYSŁAW BRONIEWSKI — Poezje
ROBERT BROWNING — Poezje wybrane
MICHAŁ ANIOŁ BUONARROTI — Poezje
ROBERT BURNS — Z wierszy szkockich
JAN BRZĘKOWSKI — Poezje
BLAISE CENDRARS — Poezje
RENÉ CHAR — Wspólna obecność
WIELEMIR CHLEBNIKOW — Poezje
MARYNA CWIETAJEWA — Poezje
EGISZE CZARENC — Poezje wybrane
JÓZEF CZECHOWICZ — Wiersze wybrane
Cztery poematy biblijne
DANTE ALIGHIERI — Życie nowe
EMILY DICKINSON — Poezje
PAUL ELUARD — Wiersze
MIHAIL EMINESCU — Poezje
FELICJAN FALEŃSKI — Wiersze wybrane
AFANASIJ FET — Liryki
MARIE DE FRANCE — Pieśni
ROBERT LEE FROST — Wiersze
KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI — Liryka

JOHANN WOLFGANG GOETHE — Dywan Zachodu i Wschodu
WIKTOR GOMULICKI — Wiersze wybrane
NAZIM HIKMET — Wiersze
NAZIM HIKMET — Wiersze i poematy
HORACY — Satyry
FRYDERYK HÖLDERLIN — Poezje wybrane
VICTOR HUGO — Liryki i poematy
KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA — Wiersze 1912—1959
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — Liryki
MAX JACOB — Wybór poezji
MIECZYSŁAW JASTRUN — Poezje
SERGIUSZ JESIENIN — Poezje
FRANCISZEK KARPIŃSKI — Wiersze wybrane
JAN KASPROWICZ — Księga ubogich
JAN KASPROWICZ — O bohaterskim koniu i walącym się domie
KONSTANDINOS KAWAFIS — Wybór wierszy
JOHN KEATS — Poezje wybrane
JAN KOCHANOWSKI — Poezje
MARIA KONOPNICKA — Wiersze wybrane
IGNACY KRASICKI — Wiersze wybrane
ZYGMUNT KRASIŃSKI — Poezje
JULES LAFORGUE — Poezje
STANISŁAW JERZY LEC — Poezje
JAN LECHOŃ — Poezje
MICHAŁ LERMONTOW — Demon
BOLESŁAW LEŚMIAN — Wiersze wybrane
JERZY LIEBERT — Poezje
FEDERICO GARCIA LORCA — Poezje wybrane
KAREL HYNEK MÁCHA — Maj
ANTONIO MACHADO — Serce i kamień
WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI — Liryka
OSIP MANDELSZTAM — Poezje
EDGAR LEE MASTERS — Umarli ze Spoon River
TADEUSZ MICIŃSKI — W mroku gwiazd
ADAM MICKIEWICZ — Poezje
JAN ANDRZEJ MORSZTYN — Wybór poezji
ALFRED DE MUSSET — Poezje
Muza Grecka. Epigramaty z Antologii Palatyńskiej

Muza Rzymska. Antologia poezji starożytnego Rzymu
ADAM NARUSZEWICZ — Liryki wybrane
VÍTĚZSLAV NEZVAL — Cudowny czarodziej
CYPRIAN NORWID — Poezje t. I/II
CYPRIAN NORWID — Vade-mecum
BRONISŁAWA OSTROWSKA — Biała godzina
BORYS PASTERNAK — Poezje
MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA — Poezje
SÁNDOR PETŐFI — Poezje
FRANCESCO PETRARCA — Sonety do Laury
MARIAN PIECHAL — Poezje
STANISŁAW PIĘTAK — Poezje
EDGAR ALLAN POE — Poezje wybrane
WACŁAW POTOCKI — Wiersze
FRANCE PREŠEREN — Poezje
JULIAN PRZYBOŚ — Liryki 1930—1964
ALEKSANDER PUSZKIN — Liryki i ballady
SALVATORE QUASIMODO — Poezje
RAINER MARIA RILKE — Poezje
ARTUR RIMBAUD — Poezje
WACŁAW ROLICZ-LIEDER — Poezje wybrane
PIERRE DE RONSARD — Poezje
TADEUSZ RÓŻEWICZ — Wiersze i poematy
MAKSYM RYLSKI — Poezje
ALEKSANDER RYMKIEWICZ — Wybór poezji
SAFONA — Pieśni
CARL SANDBURG — Wybór wierszy
FRYDERYK SCHILLER — Ballady
PERCY BYSSHE SHELLEY — Poezje wybrane
ANDREJ SLÁDKOVIČ — Maryna
ANTONI SŁONIMSKI — Liryki
JULIUSZ SŁOWACKI — Ja Orfeusz
JULIUSZ SŁOWACKI — Poezje
LEOPOLD STAFF — Wybór poezji
Stara poezja armeńska
ANATOL STERN — Poezje 1918—1968
JULES SUPERVIELLE — Liryki i poematy
Symboliści i akmeiści rosyjscy
WILIAM SZEKSPIR — Poematy

WILIAM SZEKSPIR — Sonety
WISŁAWA SZYMBORSKA — Poezje
JAN ŚPIEWAK — Poezje
RABINDRANATH TAGORE — Zbłąkane ptaki
ALFRED TENNYSON — Poezje wybrane
TEOKRYT — Sielanki
KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER — Poezje
MIKOŁAJ TICHONOW — Wiersze
TEODOR TIUTCZEW — Poezje
GEORG TRAKL — Wiersze
STANISŁAW TREMBECKI — Wiersze wybrane
JULIAN TUWIM — Wybór poezji
PAWŁO TYCZYNA — Poezje
PAUL VALÉRY — Poezje
ADAM WAŻYK — Wybór poezji
WALT WHITMAN — Źdźbła trawy
MARYLA WOLSKA — Poezje
STANISŁAW WYSPIAŃSKI — Poezje

Tytuły roku 1974:

TADEUSZ BOROWSKI — Poezje
MIECZYSŁAWA BUCZKÓWNA — Wybór wierszy
BYRON — Poezje
Dawna poezja gruzińska
JAN KASPROWICZ — Księga ubogich
MARIA KONOPNICKA — Wiersze wybrane
Muza Rzymska. Antologia poezji starożytnego Rzymu
PABLO NERUDA — Poezje
TADEUSZ RÓŻEWICZ — Wiersze
WŁADYSŁAW SYROKOMLA — Poezje
TEOKRYT — Sielanki
KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER — Poezje
TOMASZ KAJETAN WĘGIERSKI — Poezje
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI — Wiersze wybrane

PRINTED in POLAND
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974 r.
Wydanie drugie
Nakład 10 000+290 egz. Ark. wyd. 4,2. Ark. druk. 3,75
Papier druk. — mat. kl. III, 80 g, form. 70×100/32
Oddano do składania 4 IX 1973 r.
Podpisano do druku w styczniu 1974 r.
Druk ukończono w kwietniu 1974 r.
Zakłady Graficzne w Toruniu
Nr zam. 1802 — W-117
Cena zł 20,—

KI
19

CENA ZŁ 20.—